Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

„SAMUEL ZBOROWSKI" W TEATRZE POLSKIM

Dziś 6 stron

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Oddział „Wiadomości Literackich" w Paryżu, 123, boul St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Nr. 29 (185) Warszawa, Niedziela 17 lipca 1927 r. Rok IV

BOY-ŻELEŃSKI

O ŚWIĘTE PRAWO DO PRZECINKA

1.

W ostatnich latach dużo było mowy o pisowni aż się wreszcie od biedy ustaliła; dość cicho natomiast było o interpunkcji. A przecież to jest rzecz o wiele ważniejsza i delikatniejsza. Czy będziemy pisali „historya" czy „historja"; „Maryja", „Marya" czy „Marja", to jest, w gruncie, rzecz umowy i przyzwyczajenia; natomiast interpunkcja wnika, mojem zdaniem, głęboko w istotę stylu i języka.

Całe moje życie pisarskie jest głuchą walką o przecinek. Poruszałem tę rzecz przed kilku laty, gdy, zaczepiony przez pewnego profesora, replikowałem *) wyjaśniając moje stanowisko; wdało się w rzecz dwóch innych specjalistów, z którymi stoczyłem niewinną utarczkę. Ale co się pokazało? Zdania „uczonych w piśmie" nietylko nie były w tej mierze jednomyślne, ale, przeciwnie, zarysowały się między nimi dość stanowcze różnice. Okazało się, że cała kwestja, tak prosta dla prostaczków, daleko jest od ustalenia i może wogóle do „ustalenia" się nie nadaje... Od tego czasu nęka mnie ten przecinek ciągle: nie mogę wziąć prawie polskiej książki do ręki, aby mnie nie uderzyła nielogiczna i opaczna interpunkcja. Co więcej, opierając się na własnych doświadczeniach, nigdy nie wiem kto jest sprawcą tej interpunkcji i kto jest za nią odpowiedzialny: autor, kierownik literacki danej firmy księgarskiej, korektor czy poprostu zecer? Jeżeli ci ostatni, na jakich zasadach opierają się w poprawianiu autora? Informowałem się w pewnej wielkiej drukarni: objaśniono mnie, iż, jeżeli zecer widzi że z interpunkcją autora jest „słabo", wówczas sam ją poprawia lub uzupełnia. Na zapytanie moje, jakie są kryterja w tej ocenie i poprawianiu, nie dostałem odpowiedzi. W „Zasadach ortografji" prof. Łosia słownik ortograficzny obejmuje 163 stronice, przecinkowi natomiast poświęcona jest jedna stronica ogólnych uwag, w których zecer bynajmniej nie znajdzie wskazań na poszczególne wypadki. Daje zatem przecinek jak sam chce, posługując się mechanicznie (bo przecież, składając tekst, nie wchodzi w jego myśl i ducha) paru grubemi regułami; czyli, w praktyce, daje przecinek przed każdem „który", „jak", „że", „co" i t. d. Równocześnie tępi z zasady przecinki przed „i". Absurd mechanizacji dochodzi do tego, że słowa np. „mimo że" zecer dzieli przecinkiem po „mimo"! Rzecz jasna: nie zna tekstu, widzi tylko swoje „że". Nie chcę powiedzieć nic złego o zecerach, których bardzo lubię; ale tutaj przekraczają niewątpliwie swoją sferę działania.

Powie ktoś, że ponad zecerem jest korektor, jest autor. Korektor postępuje często tak samo mechanicznie jak zecer; pozostaje autor, o ile... zwraca na to uwagę, i o ile sam robi korektę, co bynajmniej nie dzieje się zawsze. Wielu wydawców woli zresztą aby autor nie robił korekty; zaraz powiem dlaczego. Bo, przy składaniu t. zw. maszynkowem, każda zmiana w interpunkcji pociąga za sobą konieczność przeskładania całego wiersza, czyli że, ściśle biorąc, nieraz ze składu ani połowaby nie została. Wogóle maszynowy skład, utrudniając korektę, przyczynił się do wielkiego zabagnienia interpunkcji. Cóż ma robić autor? Nie chcąc wydawcy przysparzać kosztów, rezygnuje, albo zadowala się kompromisem. Nieraz, choćby się domagał, nie uwzględnionoby jego reklamacji. Trzeba na to wielkiego autorytetu, wielkiego uporu i wytrwałości, aby przeprowadzić w książce swoją interpunkcję.

Niektóre firmy wydawnicze (są to firmy sumienne (!), nowocześnie prowadzone!) powierzają odrazu rękopis autora swemu mężowi zaufania, często nauczycielowi gimnazjalnemu, który już na skrypcie przeprowadza „prawidłową" interpunkcję.

2

Nastręcza się więc przedewszystkiem pytanie zasadnicze: czy interpunkcję należy uważać za integralną część stylu pisarza, czy też za rzecz, którą da się załatwić mechanicznie, zapomocą jakichś stałych, wiadomych i wszystkim dostępnych prawideł? A jeżeli ktoś przyjmie to drugie, jakie są te prawidła, gdzie one są, gdzie i kiedy je ustalono? Czy one są tak ścisłe, szczegółowe, niewątpliwe, że, na ich podstawie, korektor, ewentualnie nawet zecer (!), mogą ujednostajniać interpunkcję autorów, tak jak czynią z ich pisownią?

Aby sobie tę rzecz rozjaśnić, biorę w rękę inteligentną książeczkę dr. Wiktora Wąsika „Interpunkcja polska". Cóż tam widzę?

Widzę przedewszystkiem przykłady, oparte na autorytecie pisarzów. Tak użył przecinka Sienkiewicz, tak Śniadecki, i t. d. Cóż z tego wynika? To, że widocznie są to rzeczy indywidualne, skoro przytacza się, jako przykład, pisarzów.

Ale odrazu, zważywszy technikę drukowania książek, nasuwa się pytanie, w jakim stopniu można czynić autorem tej czy innej interpunkcji Sienkiewicza i t. d. a nie korektora lub zecera zatrudnionych przy składaniu jego dzieł? Niema powodu sądzić, iż dawniej skrupulatniej obchodzono się z rękopisami niż dzisiaj: tem bardziej zaś wątpliwe jest, czy np. Sienkiewicz, który większość życia spędzał poza krajem, sam przeprowadzał korekty. A zatem?...

A interpunkcja Mickiewicza: zaraz możemy spytać, z którego wydania? Bo interpunkcja pierwodruku różni się najzupełniej od wydania np. prof. Piniego. Tu cytuje się go jako przykład, tam się go poprawia! A jeżeli dr. Wąsik brał przykłady np. z wydania prof. Piniego, w takim razie cytuje Piniego nie Mickiewicza, a to jest pewna różnica. To mówię tylko nawiasem, jako przyczynek do ścisłości nauki „ścisłej".

Dr. Wąsik pisze: „Do najciekawszych należy może stosowanie znaków bardzo bogate przez Wyspiańskiego". Znowuż zatem stwierdza, że interpunkcja jest rzeczą indywidualną, zmienną i należącą do pisarza. I cóż widzimy? Nowe zbiorowe wydanie dzieł Wyspiańskiego zmieniło najzupełniej w duchu szkolnym tę jego „oryginalną" interpunkcję, mimo że Wyspiański sam czuwał nad pierwszemi wydaniami i do strony typograficznej przykładał wielką wagę. Ten sam paradoks: z jednej strony cytuje się i chwali pisarza jako autorytet, a z drugiej poddaje się go (nb. nie w szkolnem wydaniu) pod ferulę szkolną. Zmarli nie mogą się bronić, ale, jak wskazałem wyżej, interpunkcję narzuca się faktycznie i pisarzom żyjącym; a niekiedy narzuca się ją im i autorytatywnie, np. w pewnych zbiorowych „bibljotekach", żądających wprost od autora lub tłumacza poddania się interpunkcji obowiązującej (gdzie? jakiej?), gdyż inaczej dziełko nie zyska aprobaty jako lektura szkolna.

3

Jak widzimy, kwestja jest dość skomplikowana i ma dwie strony: zasadniczą i techniczną. Ta strona techniczna jest tu niezmiernie ważna, co każdy pisarz odczuwa na własnej skórze. Dlatego kwestja ta powinna być wyświetlona, i to przedewszystkiem przez literatów na łamach literackiego pisma. Już pisownię załatwiono poza pisarzami, inaczej z pewnością nie ostałby się w niej taki dziwoląg jak ów sławny „triumf"; nie pozwólmyż, aby o wiele ważniejszą kwestję interpunkcji załatwiały czcigodne zresztą sanhedryny lingwistów poza nami. „Bo przecinek to nie konwencja: to myśl, to życie, to cząstka duszy pisarza", pisałem przed kilku laty. Nie damy ziemi skąd nasz ród!...

Zatem przejdźmy rzeczy po kolei.

4

Na postawione pytanie pozwolę sobie odpowiedzieć w tym duchu, że uważam interpunkcję za należącą do stylu, tem samem do pisarza, tem samem nie nadającą się bynajmniej do mechanicznego ujednostajnienia i usztrychowania, chyba że sam autor ujawni pod tym względem zupełną obojętność lub niedbalstwo. Mówię tu głównie o drukowaniu książek; dzienniki znajdują się w innych warunkach technicznych i mniej mnie tu obchodzą.

Sporne kwestje dotyczą najczęściej *przecinka:* co do innych znaków mniej bywa nadużyć.

Głównym celem przecinka jest osiągnięcie przejrzystości zadania; tem samem logika tego zdania powinna przedewszystkiem rozstrzygać o takiem lub innem postawieniu przecinka. Żadne zasady, że przed słowem „który" ma się kłaść przecinek, a przed „i" niema się go kłaść (zresztą prof. Łoś wyraźnie dopuszcza przecinek przed „i"), nie mogą być bezwzględne: to są regułki dobre w szkole, gdzie chodzi o danie dziecku najgrubszych zasad ogólnych, ale śmieszne jest chcieć poddawać im pisarza. Jest to sprawa o wiele subtelniejsza i bardziej złożona, jak wie każdy kto się nad tem bodaj trochę zastanawiał.

Oto naprędce znaleziony przykład ze świeżo wydanego „Nielsa Lyhne", jak zbędny przecinek może zaciemnić sens zdania:

„Nie było źdźbła prawdy w tem, jakoby paliła opjum we francuskim klubie, ani tem bardziej w historji, jakoby się dała rzeźbić w pozie Pauliny Borghese"...

Czytając, odnosimy chwilowe wrażenie, że bohaterka nie paliła opjum ani w klubie ani w historji; trzeba chwili namysłu, aby zrozumieć, że „historja" odnosi się do następnego zdania. Opuśćmy przecinek przed „jakoby", a zdanie stanie się jasne.

Oto przykłady z Żeromskiego: kiedyś znajdą się może w podręczniku jako „interpunkcja Żeromskiego". a jakbym podejrzewał, że to jest poprostu typowa interpunkcja zecerska (znam ją!).

„Pracuję od świtu do nocy i chełpię się tem, żem jeden z pierwszych gospodarzy"...

Pierwsze wrażenie przy czytaniu jest: „chełpię się tem, że pracuję od świtu do nocy". Jabym dał interpunkcję taką: „Pracuję od świtu do nocy, i chełpię się tem żem jeden z pierwszych gospodarzy". Lub ostatecznie: „Pracuję od świtu do nocy, i chełpię się tem, żem jeden z pierwszych gospodarzy".

Inny przykład z Żeromskiego: „Przypomnij sobie teraz nasze szkolnictwo: Macierz, nędze naszych muzeów i brak urządzeń, które są wszędzie na ziemi". Przecinek przed „które" wypacza myśl w tym sensie, że „nędze muzeów i brak urządzeń" są wszędzie na ziemi. Usuńmy przecinek po „urządzeń", dajmy go po „muzeów", a myśl staje się jasna.

Oczywiście nie trzeba tego co mówię brać przesadnie: rzecz prosta, że nieporozumienie jest zwykle chwilowe i że da się sens odcyfrować, ale, co się mnie tyczy, tego rodzaju wadliwa interpunkcja przyprawia mnie przy czytaniu o dotkliwe zmęczenie. W każdym zaś razie idzie przeciw swemu celowi.

Jeszcze z Żeromskiego: „Jeżeli w tę drogę pójdziecie, dokąd ja idę sam, nie zlękniecie się prowokatora". Powstaje tu poniekąd dwuznacznik: „dokąd" można rozumieć w znaczeniu „dopóki" i odnieść do następnego członu. Napiszmy zdanie tak: „Jeżeli w tę drogę pójdziecie dokąd ja idę sam, nie zlękniecie się prowokatora", a dwuznaczność zniknie, zdanie będzie przejrzyste.

5

Wogóle mogę ustalić jako pewnik, że przy mechanicznem przecinkowaniu szkolno - korektorsko - zecerskiem daje się przecinków maksymalną ilość; daje się ich o wiele za dużo. Czasem to jest obojętne, robi tylko wrażenie natrętnych much, które człowiek miałby ochotę spędzić; ale częściej nie jest obojętne. Bo pozwolę sobie postawić jako zasadę, że

każdy przecinek zbędny jest osłabieniem przecinka potrzebnego; neutralizuje go niejako. Odnosi się to do zdań dłuższych, skomplikowanych. Jakieś zdanie, dajmy na to, byłoby jasne przy czterech przecinkach; wprowadźmy w nie jeszcze trzy przecinki zbyteczne, a powstanie mechaniczna siekanina przecinków, w której logika zdania się zatrze. Mechaniczne przecinkowanie bardzo często dzieli to co się łączy, łączy zaś to co należy rozdzielić.

Nie mogę tu oczywiście wchodzić we wszystkie odcienie przecinkowania; zaznaczę tylko rzecz w paru słowach, a każdy zrozumie o co mi chodzi.

Oto przykład przecinków stosunkowo niewinnych, ale zbytecznych:

„Nie wiedział, w jaki sposób, ale ją odzyska". („Nie wiedział w jaki sposób, ale ją odzyska")

„Będę robił wszystko tak, jak wiem, że ty chcesz, abym robił". („Będę robił wszystko tak, jak wiem że ty chcesz abym robił").

Oto przykład niedorzecznego przecinka:

„Najgorsze w ich postaci jest to, że zjawia się nam napół, jak mara senna..."

„Odchodzę i tak, jak jestem ubrana, w kostjumie fantastycznej Hiszpanki"... Zamiast: „Odchodzę, i tak jak jestem ubrana, w kostjumie fantastycznej Hiszpanki"...

„Nie mamy ich, czem karmić, więc wysyłamy ich w świat" (typowo bezmyślny przecinek przed „czem").

„Znajdowała, że pan Czeu jest dżentelmenem najbardziej dystyngowanym ze wszystkich, jakich znała i miała słuszność"... (przecinek zamiast przed „jakich", powinien być po „znała").

„On sam przybierał ton człowieka, pełnego powagi" (przecinek zbyteczny).

„Są sami, pomimo, że potrącają się wzajemnie" (przecinek po „pomimo" zupełnie zbyteczny).

„...tak, że gdy przyszła wiosna, to zastała już nie nadwiędniętą, ale żywą latorośl, której mogłaby użyczyć swego dobrego łagodnego ciepła, ale uwiąd zupełny"... (zbyteczne ujęcie w przecinki słów „ale żywą latorośl" zaciera sens zdania).

„Lekki statek kołysały wody niedaleko i żagiel, podarty wiatrem, żałobne spuszczał zasłony"... (brak koniecznego przecinka przed „i żagiel" utrudnia czytanie).

„Drzewa, dawno niewidziane, wzgórek, tyle razy deptany, staw, lekkim uwieńczony mostem, gaje, odwiedzane przy blasku księżyca"... O ileż lepiej pisać to zdanie tak: „Drzewa dawno niewidziane, wzgórek tyle razy deptany, staw lekkim uwieńczony mostem, gaje odwiedzane przy blasku księżyca"...

„Mijamy wspaniałe nowoczesne plaże, modne, kąpielowe miejscowości"... (po „modne" przecinek zbyteczny).

Tutaj wpadnie przecinkowanie. „Potwór z nosem tapira, który jest krwiożerczy, jak tygrys i zdąża za upatrzoną ofiarą"...

„Dobermany, a zwłaszcza psy, skrzyżowane z wilkami"...

„Pani Rollerowa, wdowa po byłym burmistrzu, surowsza i potężniejsza, niż sam pan burmistrz"... (przecinek po „potężniejsza" zbyteczny).

„Narzeka na upały, na to, że mięso jest gorsze i nie tak smakuje, jak w Polsce"...

Często znów nie daje się przecinka tam, gdzie on jest potrzebny, zwłaszcza przed „i"; ale niepodobna mi tu mnożyć przykładów: gdybym miał czas, znalazłbym jeszcze wyrazistsze; wystarczy otworzyć jakąkolwiek książkę, aby, jak to mówią, flaki się człowiekowi przewróciły...

6

Pytam się, skąd się biorą wszystkie te mechanicznie stosowane regułki, ten dogmatyzm? Niema go u lingwistów. Nawet polemizując ze mną, prof. Zawiliński przyznał wyraźnie: „Pod tym względem ma Boy zupełną słuszność, że zdania wtrącone bywają posiekane przecinkami, których mnogość osłabia ich znaczenie istotne"; czyli że nie przed każdem „który", „że", „aby", „jak", potrzebny jest przecinek. Prof. Nitsch, z którym rozmawiałem o tem, okazuje jeszcze większy liberalizm i uważa kwestję przecinkowania polskiego za bardzo chaotyczną. Otwieram wreszcie cytowaną już książkę dr. Wąsika i czytam:

„W interpunkcji znajdują wyraz nietylko względy składniowe, lecz obok innych jeszcze i logiczne... Interpunkcji czysto składniowej (czyli takiej, jak ją stosują, i to w karykaturze, nasze drukarnie— *przyp. mój)* nie można sobie nawet wyobrazić; jest ona fikcją, gdyż przy podziale składniowym zdania musimy brać pod uwagę względy logiczne, a mianowicie treść danego zdania...

„Znaki przestankowe stanowią organiczną część tekstu, bez których staje się on niekiedy bezładną masą wyrazów"...

Poczem przytacza ta książeczka m. in. różne sposoby przecinkowania, zmieniające odcień treści. I na to powinnoby się położyć nacisk w pedagogji: na logikę interpunkcji, na jej ducha, a nie na ciasne i wątpliwe regułki. Teorja interpunkcji rozumie to, ale praktyka jest okropna!

7

Tak więc, widzimy, że ten gwałt, jaki odbywa się na nas, piszących, nie ma za sobą żadnego autorytetu, nie opiera się na żadnych istotnych prawidłach, bo ich (poza najgrubszemi) niema: jest jedynie wynikiem rutyny i zabobonu. Wiem z rozmów z kolegami po piórze, że nie mnie jednemu dokucza ta bolączka: uważam tedy, że czas jest najwyższy, aby się pisarze wypowiedzieli i coś przedsięwzięli w tej mierze. Niech się ta rzecz z mroku sal zecerskich dobędzie na światło dzienne: niech się wyjaśni, kto nas tak dręczy i kaleczy, a zwłaszcza w imię czego?!

*) patrz Boy: „Flirt z Melpomeną i inne flirciki", wieczór trzeci (Krakowska Spółka Wydawnicza).

U DOSKONAŁEGO PROZAIKA

Jan Wiktor

Kraków, w lipcu 1927.

Pracownia. Na białych półkach stoją w równym rzędzie ciężkie plastry książek. Na pobielanej ścianie wiszą śliczne drzeworyty z XVI w., obrazy Vlastimila Hofmana i Gedliczki. Przy biurku uginającem się pod ciężarem książek i różnych notatek siedzi Jan Wiktor, zatopiony w czytaniu grubego rękopisu. Rozpoczynamy rozmowę.

— Mało teraz piszę — mówi Wiktor. — Odpoczywam. Poprawiam ukończone utwory. Przyznam się panu, że piszę z wielkim trudem. Tworzę w cierpieniu. To nie frazes. Nastrój suteryny odbił się w „Burku". W trakcie pisania przeżywam całą tragedję czy męczarnię, którą chcę zmaterjalizować w słowach. Piszę więc najczęściej ustępami, fragmentami. Rzucam niekiedy na papier kilka myśli, powierzchownie z sobą niezłączonych, — potem luki uzupełniam, stwarzam większe fragmenty, łączę je razem, kształtując je w skoordynowaną całość. Niekiedy zdarza mi się, że miesiącami nie piszę. Jeśli jednak przyjdzie okres sposobny, pracuję dziennie po dwanaście, czternaście godzin.

JAN WIKTOR

— Kiedy pan zaczął pisać i drukować?

— W gimnazjum nie pisałem. Za polskie ćwiczenie maturalne dostałem stopień niedostateczny. Zacząłem pisać dopiero po maturze, w czasie pobytu w Zakopanem. Wtedy powstały pierwsze moje nowele, drukowane pod różnemi pseudonimami w różnych czasopismach poznańskich i galicyjskich. Wierszy nigdy nie pisałem. W r. 1919 Wydawnictwo Polskie we Lwowie wydało moją pierwszą powieść p. t. „Oporni". W dziesięć miesięcy potem zwrócono się do mnie z prośbą o pozwolenie wybicia drugiego wydania „Opornych". Odmówiłem, gdyż uważałem już „Opornych" za utwór stary i niepotrzebny — nieharmonizujący z nowemi stosunkami politycznemi.

— Nad czem pan teraz pracuje?

— Oto najświeższa moja powieść p. t. „Zwarjowane miasto" — awantura filmowa. — Tu pokazuje mi Wiktor rękopis „Zwarjowanego miasta". 363 strony bitego, maszynowego pisma. — Skończona. Teraz tylko przeprowadzam rewizję niektórych rozdziałów. W powieści tej poruszyłem dość ważne (tak mi się zdaje) i aktualne problematy, które nurtują obecne czasy. Z ogromnym podziwem patrzę na nowe życie. Postępujemy naprzód. Nowe wartości zawładnęły światem. Przychodzi teraz do głosu nowe pokolenie. I właśnie w „Zwarjowanem mieście" poruszam problemat tego nowego życia—ja „życiowo siwowłosy starzec", należący do przeszłości,—mówi z uśmiechem Wiktor, gładząc swe czarne, bujne włosy.—Chciałem w tej powieści oddać nastrój współczesności, pęd tej wiecznej przemiany wartości życiowych, której jesteśmy tragicznymi świadkami. Teraźniejszość, nowość, warkot pędu, sensacja, a na ich tle poważne problematy. I młodzi i starzy obrzucą tę powieść kamieniami. Stare pokolenie upadło, przyszło na jego miejsce pokolenie nowe, genjalne — nowi budowniczowie świata, którzy może wreszcie przyniosą światu drogocenny brylant: *sprawiedliwość.* Musimy więc iść naprzód. Musimy zdobywać, a nie czekać w pokornem milczeniu. Trzeba być walcem, a nie kamyczkiem rzuconym na rozstajne drogi. Musimy umieć żyć, gdyż w przeciwnym razie będziemy niczem. W jednym epizodzie (rozmowa poety starego pokolenia z poetą nowego pokolenia) odmalowałem właśnie ten tragizm wielkiego *przełomu,* jaki teraz przeżywamy. „Kaganek na sercu zapalony — jego płomyk musi zaćmić lampa łukowa". „Trzeba palić chochoły przeszłości i tradycji, aby świecić współczesności" — czyta Wiktor zdania „wyjęte" ze „Zwarjowanego miasta".

— Kiedyż powieść ta ukaże się w druku?

— Nie wiem. Czuję lęk przed spojrzeniem wydawcy. Nie umiem dobijać się do księgarzy i redakcyj. Przed kilkoma miesiącami wysłałem do jednego z polskich dzienników nowelę. Redaktor dał ją do przeczytania korektorce. Ta orzekła (?), że nowela do druku się nie nadaje. No? A co najciekawsze, ta sama nowela została wyróżniona na konkursie „Naokoło Świata". „Burka" wydałem pod „terrorem" dyrektora gimnazjum w Przemyślu, p. Smołki, który mnie faktycznie *zmusił* do ogłoszenia drukiem tej powieści. Zresztą— przyznam się—czuję jakąś bliżej nieokreśloną niechęć do każdej mojej już napisanej rzeczy. Piszę z zapałem. Nad każdą powieścią lub najmniejszą nowelą bardzo dużo pracuję. Napisana jednak — nie należy już do mnie. Znajduje się poza mną. Nie czytałem ani jednego mojego drukowanego utworu, ani jednego — mówi z uśmiechem Wiktor. — Widziałbym błędy i czułbym niesmak.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć czegoś o swych literackich zamiarach?

— Mam przygotowany do druku cykl opowiadań p. t. „Z podwórza". Są to opowiadania o kurach, kogutach i t. d. Leży również gotowa mniejsza powieść p. t. „Sentymentalny zając". W planie mam powieść p. t. „Nowy Mesjasz". Przedstawię w niej Chrystusa na tle dzisiejszej epoki. Postaram się odpowiedzieć na pytanie, jak współczesne społeczeństwo przyjęłoby nowego Chrystusa i coby ów nowy Mesjasz dzisiaj głosił, stwierdziwszy bankructwo idei miłości. Prócz tego Towarzystwo Miłośników Książki w Krakowie wyda moje opowiadania p. t. „W opuszczonej pustelni" (utwór w rodzaju „Legend o grajku bożym"). Mam również w planie zbiór impresyj p .t. „Odpryski serca": są to „opiłki" różnych myśli, które nachodziły mnie ubocznie w trakcie pisania różnych utworów.

— Czy utwory pana są tłumaczone na obce języki?

— Tak: niektóre. Wzorowo przetłumaczył „Burka" Alha na język niemiecki. Część „Legendy o grajku bożym" przełożył ślicznie na niemiecki niezrównany tłumacz „Anhellego", Arnold Gahlberg. Ukazały się one w „Frankfurter Zeitung" i w „Prager Presse".

— Jak zapatruje się pan na współczesną prozę polską?

— Uwielbiam wszystkich młodych. Mam najwyższy podziw dla twórczości Żeromdena-Bandrowskiego, Nałkowskiej i Żeromskiego polskiej. Wielopolska — to pierwszorzędna literatka i artystka, lecz także prawdziwy, wielki człowiek w najwyższem i niedzisiejszem tego słowa znaczeniu. Na „Kryjakach" Wielopolskiej kształtowałem się. Pierwsza drukowana moja rzecz—to recenzja o tej książce: okrzyk zachwytu. Z najwyższą miłością odnoszę się do twórczości Żeromskiego. Twórczość jego odrodziła mnie. Po przeczytaniu „Dziejów grzechu" czułem się oczyszczony na duchu.

— Co pan sądzi o współczesnej poezji polskiej?

— Podziwiam wspaniałe talenty Iłłakowiczówny, Słonimskiego, Tuwima. Słonimski — to talent nadzwyczajny. Ale ten człowiek dla jednego dowcipu jako recenzent — gotów zabić. Z każdego słowa jak ze szpady w słońcu — błyski oślepiające dla otoczenia, a ciosy śmiertelne dla „ofiary". Lęk ogarnia, aby nie stanąć pod murem szpalt, ale równocześnie oczy lecą ku jego ocenom. Że też niema szubienicy, na której powinno się powiesić każde słowo tego najzjadliwszego i najciekawszego recenzenta.

Roman Brandstaetter.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

WIESŁAW I GLADYS

Nowela nagrodzona na konkursie „Wiadomości Literackich" przez kolegjum sędziowskie, złożone ze Stanisława Czosnowskiego, Karola Irzykowskiego i Jana Nepomucena Millera

Było kwadrans po piątej, i wszyscy przyszli do przekonania, że pani Freeman nie przyjdzie dziś na lekcję. Zwłaszcza rudy i tępy Gaston dowodził tego z przejęciem, powołując się zresztą na znaną punktualność angielską. Wiesław, który podnosił właśnie do ust filiżankę kawy, pomyślał ze złością, że dobrzeby się stało, gdyby pani Freeman przyszła choćby naprzekór temu głupiemu Gastonowi. Wiadomą bowiem rzeczą było, że Gaston przychodzi na lekcje angielskiego tylko poto, żeby bałamucić Pię, pedantyczną szatynkę bez wdzięku. Pia była posażną jedynaczką, córką państwa domu. Werszlerowie od paru lat usiłowali ją wydać zamąż, ale napróżno. Ponieważ zaś w tym roku nadchodziła dwudziesta siódma wiosna Pii, rozpoczęto intensywne zabiegi na całej linji. W planie strategicznym przewidziane były również komplety języka angielskiego, chodziło bowiem o to, żeby Pia była otoczona młodzieżą.

— Wobec tego może weźmiemy dziś lożę do teatru? — zaproponowała pani Werszlerowa, patrząc badawczo na Wiesława. — Pan Gaston twierdzi wprawdzie, że Anglicy są punktualni — obruszył się Wiesław. — O ile jednak wiem, są oni również dobrze wychowani! Gdyby więc Mistress miała dziś nie przyjść na lekcję, zatelefonowałaby z pewnością.

To powiedzenie pomieszało szyki, ale właśnie w tej chwili rozległ się dzwonek w korytarzu.

Pani Drewsowa, młoda wdówka, sentymentalna i pulchna, spojrzała z uznaniem na Wiesława. Nie zwrócił na to uwagi Chciwem uchem łowił rozmowę z przedpokoju. Tak, to pani Freeman! Usprawiedliwia się przed Werszlerową z opóźnienia.

— Oh, cela ne fait rien, cela ne fait rien, chère madame!—zapewnia prędko tamta.

Tymczasem, na zaproszenie Pii, towarzystwo przeszło z salonu do „klasy". Był to dawny pokój szkolny Pii. Wszyscy się zgadzali, że kolekcja globusów ze zniszczonem tellurjum na szafie, krzywo porozwieszane mapy i zielone meandry na białych ścianach przypominają zupełnie klasę szkoły średniej. Wprawdzie ławka szkolna z podnoszonym blatem została zepchnięta w kąt, a niezdarną tablicę na wysokich nóżkach wysunięto bardziej na środek pokoju, ale ta zmiana nie psuła nastroju. Przed tablicą stał zamiast katedry stół pani Freeman, a nawprost niego trzy rzędy krzeseł. Komplet składał się z siedmiu osób. Oprócz pani Drewsowej, Pii, Wiesława i Gastona studjowali tu jeszcze angielszczyznę dwaj bracia Gaertnerowie, Andrzej i Zbigniew, krzepkie, wysportowane chłopy, oraz niejaki Józef Grzywiński, medyk z zawodu. Uczniowie zajęli swoje zwykłe miejsca.

Wiesław siedział sam jeden w ostatnim rzędzie. Teraz dopiero oceniał naprawdę korzyść swego osamotnienia, teraz gdy między nim a panią Gladys Freeman zawisła niewidzialna, zadzierzgnięta od paru lekcyj zaledwie pajęcza sieć utajonego porozumienia. Wysnuło się to wszystko tak jakoś samo z siebie, z rzucanych ukradkiem spojrzeń, z nieśmiałych, gasnących na samym progu rozchylonych warg uśmiechów, z najcichszych melodyj słów, uciekających jak woda. Wiesław dobrze wiedział, że gdyby w tym czasie spróbował podejść panią Freeman jakiemś badawczem, nieostrożnem słowem, nie przyznałaby się do niczego. Poprostu wyparłaby się po trzykroć. A jednak wierzył gorąco w istnienie tych niedostrzegalnych nici, które wiązały go z panią Freeman. Czuł, że się między nimi coś dzierga i rwie i tka z powrotem, jak płótno Penelopy, i znów rwie, ale przecież dzierga się wciąż, nieuchwytne i watłe.

W sąsiednim pokoju dały się słyszeć jej kroki. Wiesław ścichł w natchnionem oczekiwaniu. Pani Freeman weszła do pokoju ze swojem zwykłem „Good evening", zaróżowiona od mrozu i pachnąca świeżem, chłodnem zmęczeniem.—Good evening, Mistress! — odpowiedziało chóralnie towarzystwo. Skinęła im wszystkim ślicznie głową, uśmiechając się. Potem, stanąwszy za [illegible], spojrzała prędko z pod oka na Wiesława, jakby się chcąc upewnić, że jest.—Good evening, Gladys!—wyszeptał cichutko. Ale pani Freeman już się odwróciła do tablicy i wzięła w rękę gąbkę. — What is it? — pytała z uśmiechem. — It is a sponge! — odkrzyknęło dumnie towarzystwo. — Yes! — potwierdziła zadowolona pani Freeman. — And what is it? — It is a ruler! — Yes!... Wiesław nie brał zgoła udziału w tej bakalarni. Dla niego lekcja angielskiego była zupełnie czem innem. Rozpoczynała się jak tennis grzecznem powitaniem, lecz zaraz potem wbiegała w nieprzejrzany gąszcz radosnych zasadzek, chytrych podstępów i przebiegłej dyplomatyki miłosnej wobec nauczycielki, pani Gladys Freeman. — And what is it? — zapytała Angielka, wyciągając poziomo swą lewą rękę. Biały pokój, jakby urzeczony ślicznym kształtem ramienia pani Freeman, zachłysnął się ciszą. — Il is my left arm! — oznajmiła z powagą i powiodła prawą ręką po swem wyciągniętem ramieniu. Wiesław zadrżał jak od utajonej pieszczoty. To samo powtórzyło się z prawą ręką, i lekcja potoczyła się zwykłym trybem.

Od tej chwili Wiesław zaczął jeszcze pilniej obserwować panią Freeman. Uświadomił sobie, że dokonał wielkiego odkrycia: zobaczył, mianowicie, naprawdę po raz pierwszy Gladys! Dotychczas znał ją niezupełnie, powierzchownie, i łączył ze swem doświadczeniem wzrokowem omglony i daleki wizerunek tej niedawno poznanej kobiety. Dopiero w chwili heurystycznej gimnastyki ramion Gladys zobaczył wyraźnie po raz pierwszy ją samą, inną niż wszystkie pozostałe niewiasty. Umiał teraz określić, jak wygląda i jak jest zbudowana. Jest nieproporcjonalna!... Odkrycie było doniosłe i napełniało go triumfem. Zaczął analizować. W budowie cielesnej Gladys uderzał go przedewszystkiem kontrast piękna jej twarzy i tułowia ze swoistą brzydotą „dołu", jak to określił. Gladys miała płaskie, niezgrabne nogi, któremi poruszała z leniwą, kaczą ociężałością; ta senna indolencja jej nóg miała przecie w sobie jakiś drażniący powab i Wiesław stawiał na ten temat różne zuchwałe diagnozy. Zawstydziwszy się wreszcie swej perwersji, szybko przeszedł do „góry", czyli do twarzy, bark i piersi Gladys. Nie mógł się tu nasycić jej urodą. Gladys miała ciemne o szarym odblasku włosy, odstrzyżone wysoko na karku, tak że patrząc na nią z profilu, widziało się linję jej czaszki, schodzącą łagodnie do szyi; nadawało jej to niewysłowiony urok chłopięctwa (uczniowie niższych klas mają właśnie tak podstrzyżone głowy), i Wiesław czuł oskomę w ręce, łakomej dotknięcia ciepłej przełęczy na karku Gladys. Jej regularne i delikatne rysy twarzy zamykały się w wyrazie prostoty i ciszy. I tylko wąskie szare oczy, ukryte pod niskiem czołem, zapalające się niekiedy zimną błyskawicą gniewu, i szkarłatny stygmat małych ust mówiły o wyniosłem sercu i nieugaszonej dumie tej córy wielkiego Albionu. — Świetna rasa i stara kultura! — orzekł Wiesław, podziwiając dostojną powściągliwość i chłodny spokój, które emanowały z Gladys, jak osławione mgły Wielkiej Brytanji.

A przecież kiedy Gladys uśmiechnęła się ślicznie albo dziwiła naiwnie jak dziecko, otwierając szeroko oczy, zatracała odrazu wszystką swą chłodną wyniosłość, i każdy podziwiał w niej wtedy najmilszą sentymentalną Betty, Daisy czy Mary z angielskich różowych pocztówek. Była niewysoka, drobna, i wąskie okrągłe barki, mocno obciśnięte granatową welwetową sukienką, nadawały jej tem większy urok dziewczęcości. Wiesław zsunął się teraz spojrzeniem z jej bark i piersi, wzdłuż bursztynowego sznura, który spadał łaskotliwie szafranowemi kamyczkami na granatowy welwet, dotykając uczepionym na końcu maleńkim świątkiem bursztynowym delikatnego, ledwie dostrzegalnego pagórka jej brzucha, i wreszcie określił Gladys jako niewiastę o stuprocentowej kobiecości. Ale ta skradziona Weiningerowi definicja nie zadowoliła go: wydała mu się banalna. Zamierzał właśnie określić Gladys inaczej, gdy nagle usłyszał w zakończeniu jakiegoś rzuconego przez nią pytania swe nazwisko. — Mr. Stec, please! Zrobił wielkie oczy. Uśmiechając się, powtórzyła pytanie. — What is the thermometer, tell us, Mister Stec, please? Ogarnął szybko rozchełstane myśli i powiedział dobitnie: — The thermometer is the thing which we measure the temperature with. — Perfectly well! — zawołała pani Freeman, uradowana jak dziecko i omal nie klaszcząc w ręce. Jej pochwały były mu przyjemne. Uchodził tu za prymusa. Miał wprawdzie groźnego rywala w medyku, ale przyrzekł sobie, że nie ustąpi tamtemu i będzie zawsze pierwszy u pani Gladys Freeman!

Spojrzał na nią ciepłym, wymownym wzrokiem. Nie odpowiedziała. Znowu się zaczynało coś rwać. Patrzał na nią długo i cierpliwie, zbierając wszystkie moce duszy do oczu, ale Gladys nadal nie zwracała na niego uwagi, zajęta wypisywaniem słówek na tablicy. Lekcja dobiegała końca. Wreszcie przyszło stereotypowe „Good bye" z chóralną odpowiedzią, i pani Freeman opuściła pokój, nie spojrzawszy na niego więcej. Wszystka jego niedawna radość runęła, jak odwał skalny, w przepaść. Domysły o utajonem porozumieniu z panią Freeman wydały się dziecinnem złudzeniem. Pożegnał szorstko całe towarzystwo i wyszedł, rozdrażniony, na ulicę. Ogarnęła go głucha desperacja.

Idące nieskończone dni były jednem bolesnem wyczekiwaniem na następną lekcję. Wypadła jakoś przed Sylwestrem. Wiesław, jak zwykle, przyszedł do Werszlerów o kwadrans wcześniej. Nie było jeszcze nikogo. Pia zabawiała go dyskretnie i sumiennie. Siedzieli w małym, wymoszczonym wiochatemi dywanami i złocącą się tapetą saloniku Pii. Wiesław łaskawie pozwalał się bawić, odpowiadając monosylabami. Całą jego uwagę odjął cykający w gablotce minjaturowy zegar empire, złośliwy potworek, któremu Wiesław wyrzucał oszustwo i lenistwo. — Ciekawam, jak też tam z pańskiemi studjami? — zagadnęła w pewnej chwili Pia. Ależ kończy! Pisze właśnie pracę dyplomową o sternitach. — Sternity? — To są ciała gazowe w stanie stałym, proszę pani. — Aha!... Nie wiedziałam.

Rozmowa utknęła nagle, jak zatrzymany zegar. Wtedy Pia w źle rozumianym obowiązku gościnności i byle tylko o czemś mówić, powiedziała: — A czy pan wie, że nasza Mistress nie znosi Polaków? Nie odwracając się, łysnął złem spojrzeniem w jej stronę. — A skąd pani o tem wie?— spytał zgoła obojętnym tonem, wszczepiając zarazem kurczowo palce w oporną powłokę brokatu i łapiąc powietrze, jak ryba wyjęta z wody. — Wszyscy o tem wiedzą! — mówi niedbale Pia. — Moja matka... Urwała nagle, bo przyszła pani Drewsowa, i trzeba było wyjść do przedpokoju.

Potworek w gablotce wskazuje dwie minuty do piątej. Rozlega się dzwonek za dzwonkiem. Po świętach wszyscy są punktualni. Pani Freeman też już przyszła. Powitania, wrzawa i zamieszanie, jak na dworcu kolejowym. Wreszcie następuje uroczyste przejście do „klasy". Gladys jest dzisiaj jakby trochę zaniepokojona i często ukradkiem spogląda na Wiesława, który siedzi jak na mękach, napróżno przymuszając się do miłego uśmiechu. Nie rozumie jej wcale. Czemu ona patrzy tak badawczo w jego stronę?... Jeśli nie lubi Polaków?... Pani Freeman prosi go o odczytanie nowej lekcji. Czyta. — Thank you! — mówi pani Freeman, gdy skończył czytać. Teraz będzie mowa o tworzeniu się czasu przeszłego. Do infinitive'u czasowników regularnych dodaje się „d" lub „ed". Różowemi koniuszczkami palców ujęła biały słupek kredy, i pod jej małą ręką zjawia się na tablicy rząd liter, karnych jak szereg żołnierzy: „Preterite tense". Trzymając się jedną ręką krawędzi tablicy, odchyliła się jak słonecznik do klasy.

— For instance! Przelotnem spojrzeniem ogarnęła zachmurzonego Wiesława. Chwila namysłu. Potem, wyciągając kształtne ramię wysoko aż pod nagłówek: „Preterite tense", wypisała prędko białym ciurkiem kredy: *„love-d"*. Wiesław zmrużył oczy, nie dowierzając: *„love-d"*. To znaczy: „kochać (-ałam)"! Jak przez mgłę tylko widzi teraz zbrodnicze poczynania pani Freeman. Schylała się powoli, z premedytacją po gąbkę. Mokry ogon czarnej komety. przelatującej za gąbką po tablicy. zasłonił mu cały świat. Niema już *„love-d"*. Pani Freeman unicestwiła to słowo. Zmazała z tablicy. Na miejscu zabitego słowa zjawiło się *„like-d"*. To jest czas przeszły od słowa „lubić". Pani Freeman przez chwilę nie odwracała się do „klasy". Opuściła w dół śliczną głowę, jakby zastanawiając się nad czemś. Wszyscy sądzili, że pani Freeman szuka jeszcze w pamięci innych słów dla zilustrowania. jak się tworzy „preterite tense". Tylko Wiesław, który głodnem spojrzeniem pożerał jej każdy gest, wiedział, dlaczego pani Freeman nie odwraca twarzy od tablicy. Zdradziła ją najwyraźniej ponsowa plama krwi. wykwitająca płomieniem na szyi. Wiesław wychylił się na krześle, podglądając Gladys z profilu. Gorący wylew krwi ściekał powoli z jej policzka. ucha i karku i opylona lekuchnym, srebrno-szarym meszkiem skóra na odsłoniętej zatoce pleców i szyi przybierała znowu barwę dojrzałej moreli.

Po wypisaniu długiej kolumny zbytecznych czasowników pani Freeman odwróciła się do klasy, ominąwszy spojrzeniem Wiesława. Nic nie szkodzi! Tam i tak było *„love-d"!* Rozpoczęło się czytanie zwykłych ćwiczeń. Lekcja wlokła się jak idąca pod górę telega powoli i żmudnie. Przez ten czas Wiesław obmyślał strategję wypadu. Gladys powie mu dzisiaj, jak to jest z tymi Polakami! Zamierzał wyjść przed końcem lekcji. Brakowało jeszcze kwadransa. Wyczekał pięć minut, poczem wstał i nieznoszącym sprzeciwu głosem, ostro, zapytał, czy pani Freeman pozwoli mu opuścić „klasę". Podniosła na niego szare, zdziwione oczy. — Yes, please, Mister Stec, you may go out! — odpowiedziała pokornie i twarz jej omroczyła się cieniem zakłopotania i smutku. Uczuł w duszy mściwą radość. Wyszedł, rzuciwszy oschłe „Good bye".

Z mieszkania udało mu się wymknąć niepostrzeżenie przed Werszlerową. Zaczaił się w bramie przeciwległej kamienicy. Czas dłużył mu się i narastał, jak ropiejące w piersi gruzły. Wreszcie zobaczył wychodzących z tamtej bramy Gaertnerów z panią Drewsową i medyka z Gastonem. Przeraził się, że przeoczył może Gladys lub że ją zatrzymają na kolacji, i nie wyjdzie długo. Wyszła. Pobiegł za nią, idącą szerokim, zdecydowanym krokiem. Serce, niecierpliwe i wystraszone, tłukło mu się w piersi. Podszedł do niej, uchylając kapelusza. Czy pozwoli się odprowadzić do domu? Zatrzymała się jak wryta na środku ulicy. Spojrzała na niego zdumionemi oczami. I nagle, bez słowa, poszła szybko dalej. Zafrasowany i komiczny biegł prawie przy niej. Dopiero po chwili dosłyszał: — Yes, please, Mister Stec, you may do it. Prosił, żeby rozmawiali po polsku. — Zgoda! — powiedziała. Szli w milczeniu. Trzeba było koniecznie zacząć rozmawiać, a tu wszystkie przygotowane zgóry pytania pomieszały się jak wygarnięta z walizki bielizna. Gladys odezwała się pierwsza. Prosiła, żeby przeszedł na jej prawą stronę, od jezdni. Przyzwyczaiła się tak. U nich, w Anglji, mężczyźni zawsze chodzą z kobietami od strony jezdni. — Idjotyczne obyczaje — myślał Wiesław, któremu było niezręcznie iść z prawej strony. Przemógł się jednak i opanował powoli. Czuł niewymowną rozkosz, idąc tak razem z Gladys ulicą, huczącą jak radjo i grającą jak film różowemi i seledynowemi światłami. Ale wreszcie trzeba było coś powiedzieć. Zaczął indagację od jej imienia. Że to jest bardzo ładne imię. Przypomina mu miecz od francuskiego glaive. Gladys — glaive. — Pan ma rację. Ale czy ja mam w sobie coś z miecza? — Ja nie wiem, proszę pani. Ale chyba nie. Spojrzała mu bystro w oczy. — A jeśli się pan myli? Ej, nie myli się! Zauważył przytem, że ona mówi bardzo dobrze po polsku. — Oh, od tylu lat w Polsce! — westchnęła. Ta jej utajona skarga drasnęła go boleśnie, jak drzazga. Chciał właśnie zapytać, czy tamto, co mówiła Pia, jest prawdą, gdy Gladys zatrzymała się przed jakąś bramą. Przeraził się. — To już? Uśmiechała się niewinnie. Weszli do bramy.—Czyby nie chciała jeszcze przejść się z nim kawałek? Ma jej tyle do powiedzenia! — Spacerować? Po ulicy? — W takim razie — do cukierni!... Potrząsnęła głową. — Shocking! Był wściekły. — Wcale nie shocking! Czy Anglicy nie chodzą do cukierni? Potrząsała uparcie głową. Zrozumiał. Shockingiem była jego przedwczesna, zuchwała propozycja. Tłumaczył sobie prędko, że miłość u Anglików musi się widocznie odleżeć, niczem kandyzowane owoce. Podała mu rękę na pożegnanie. Przywarł ustami do odsłoniętego miejsca na jej wyciągniętej ręce, między rękawiczką a brzegiem futrzanego rękawa. Nie pozwoliła. Wyszarpnęła szybko rękę z pod pocałunku i odeszła, obrażona srodze. Znów shocking, psiakrew, czy co?...

Następna lekcja wypadła po Nowym Roku. Wiesława zatrzymano w laboratorjum i tym razem pani Drewsowa i Gaertnerowie byli już przed nim. Zaraz od progu zaczęli mu opowiadać o niesłychanym skandalu, jaki zdarzył się na ostatniej lekcji po jego wyjściu. Gaston nie mógł wymówić słowa „Corkscrew". Pani Freeman zaśmiewając się nalegała, żeby je wymówił, jak należy. Gaston się zirytował i dotknięty drwiną pani Freeman, nie mogąc ostatecznie wykrztusić tego „corkscrew", krzyknął: — Żargon nie język! Pani Freeman pobladła, ale nie powiedziała nic. Teraz niewiadomo, czy przyjdzie na lekcję. Może ich wogóle nie zechce dalej uczyć. Mówili bezładnie, jedno przez drugie. — Miała zawsze złe pojęcie o wychowaniu Polaków; incydent z panem Olenckim utwierdził ją jeszcze w tem przekonaniu!— zawyrokowała pani Werszlerowa. Krótki dzwonek zawiódł ich nadzieje. Okazało się, że to tylko Grzywiński. Pani Freeman nie przyjdzie już chyba na lekcję. Wtedy pani Drewsowa, nabierając w piersi powietrza, wyznała szczerze, że na szczęście pewien młody człowiek z kompletu rehabilituje w oczach pani Freeman rzekomo złe wychowanie Polaków. — Pan Stec! — dodała prędko. — Pan Stec jest bardzo w angielskim typie. Ułożenie, maniery, i wogóle!... Owszem, zgodzili się na to wszyscy. Wiesław ma w sobie coś ze studenta z Cambridge. Pia widziała to w starannem rozczesaniu jego bujnych, ciemnoblond włosów. Ośmielona pani Drewsowa dodała wtedy, że męska twarz pana Steca przypomina jej znanego aktora filmowego, Ryszarda Dixa. Jeden z Gaertnerów zwrócił uwagę na świetnie rozrośnięte barki i dobrze skrojone garnitury Wiesława. Wiadomo, że Anglicy chodzą w dobrze skrojonych garniturach. Pytali go, gdzie się ubiera i jakie uprawia sporty. Wiosłuje i gra w tennisa. Badali go, jak na wojskowej komisji przeglądowej.

Na szczęście przyszła pani Freeman. Odetchnięto z ulgą. Gastona nie było na lekcji, ale pani Freeman zachowywała się jakby nigdy nic. Właśnie! Ta historja z „corkscrew" rozgniewała Wesława. Był zły na Gastona, ale czuł także urazę do Gladys. Nie miała prawa naigrawać się z niego. Zaczął go nawet potrosze usprawiedliwiać. To wina samej pani Freeman. Wyradzała się w nim głucha niechęć do niej. Schwytał nagle zatrwożoną prawdę, jak ptaka za skrzydła: tak, niewątpliwie, Gladys nie lubi Polaków. Z kolei rozzłościł się na siebie. Pyszne były te schockingi na ostatnim spacerze. Kazała mu przejść na prawą stronę. Proszę!... Spojrzał na nią z wyrzutem. Zaczęła go drażnić nieznośnie jej równowaga i naturalny spokój. Dyscyplina jej ruchów i słów — to majestat władcy wobec poddanych. Prosi Grzywińskiego, żeby odczytał nową lekcję, ale w jej doskonale obojętnej prośbie tkwi nieodparty jak wola monarsza rozkaz. Medyk nerwowo i pośpiesznie rzucił się na książki. Osioł! Wiesław zaciskał pięście z irytacji. Drażniły go teraz nawet jej obojętne spojrzenia, któremi od czasu do czasu obejmowała „klasę", jakby dla przekonania się, czy wszystko w porządku. Tak, to jasne. Ona panowała nad nimi, jak Wielka Brytanja nad morzami. Znienawidził ją w jednej chwili całą duszą. Powziął przeciw niej groźne, jak najeżony bagnet, postanowienie. Pani Freeman nie wie jeszcze, co to są Polacy!

— Mister Stec, continue, please! — usłyszał nagle. — Przepraszam, nie będę czytał! — powiedział oschle i zaraz przeląkł się swych słów. Ironicznem zdziwieniem wyminęła jego zły humor. Zwróciła się do pani Drewsowej. Ta zaczęła czytać nerwowo i z błędami. Cała „klasa" w surowem milczeniu zasłuchała się w jej drżący głos. Wszyscy czuli w pobliżu cień Gastona. Pia obróciła się kilka razy do Wiesława z błagalnemi spojrzeniami. Uśmiechał się drwiąco. Pani Freeman zdawała się jednak nie dostrzegać niczego. Po odczytaniu lekcji przez Drewsową zaczęła ze zwykłą, naturalną swobodą wykładać użycie czasownika „to do". Wypisała kilka przykładów na tablicy. Teraz każdy ma wymyśleć jedno zdanie pytające z czasownikiem „to do". Wiesław drgnął, jak wybuchające działo. Ma się rozumieć. Tak!... Po trzykroć tak! Ten pomysł wypełzł w porę, jak wąż z trawy. Pani Freeman dowie się zaraz, co to są Polacy! Tymczasem próba z Pią nie udała się, to samo z Gaertnerami, pani Drewsowa, spłoszona, wymówiła się grzecznie. Grzywiński palnął jakieś kapitalne głupstwo. — Nobody composes an interrogative sentence with do?—zmartwiła się pani Freeman. Wiesław drżał ze strachu, że Gladys, obrażona niedawnym incydentem, nie zaprosi go do konkursu. Owszem, zaprosiła. Wyniosły pozór lekceważenia cudzych nietaktów należał również do jej „savoir vivre'u".

— And Mister Stec? — zapytała po chwili obojętnie. Patrząc na nią uważnie, twarzą w twarz, udawał, że się namyśla. Wreszcie skaleczył ją tem pytaniem, jak nożem: — Do you like polish people? [1]) Sromotny lęk zgasił w „klasie" wszystkie oddechy. Wiesław zmrużył ironicznie oczy. Dostrzegła to jego szelmostwo. Oczy jej łysnęły obficie lapisową srzeżogą. Złośliwa drwina zawisła jak kropelki ponczu na jej wąskich wargach. — A very right question! — powiedziała z ironicznym podziwem i odwróciła się od niego, pokonana i zniechęcona. Wszystko płótno Penelopy zostało poprute naszczęt. Świadczyła o tem dowodnie odraza, z jaką Gladys odwróciła się od niego. Owładnął nim, jak pożar, okropny, nieprzytomny popłoch. Rzucił się do odwrotu. Rozkazał tamtym słowom, żeby natychmiast wróciły!... Nie wracały. Zwyczajne i wątłe, te słowa zamieniły się wbrew jego woli w kartacze. Zrozumiał! To już po wszystkiem! Właśnie pani Freeman mówi teraz „Good bye", poczem zwraca się do Pii, wyrażając chęć porozmawiania z panią Werszlerową. Wychodzą obie. Wszyscy wstali z miejsc, patrząc na niego jak na przestępcę. — Nie wiedziałem, że z pana taki czarny nacjonalista! — zauważył wreszcie medyk. Wróciła Pia. Ładnie ich urządził! Wtedy Gaston, a dzisiaj znowu — on! Stracą przez niego dobrą nauczycielkę. — I skąd panu to przyszło? Sam nie wie!... Opuścił, skruszony, głowę. — Sądzę jednak, że jest na to sposób!—rzekł cicho po chwili.—Jaki? Zwyczajnie, przeproszę panią Freeman! Przeproszę! Wyjdę razem z nią i będę prosił, żeby chciała nas uczyć w dalszym ciągu. Owszem, przystali na to. Radzili jednak, żeby wyszedł przed nią i czekał w bramie. Pani Freeman zważa na pozory i będzie niezadowolona, gdy tak w oczach wszystkich wyjdą we dwoje. Ubierał się nerwowo. Wyszedł prędko. — Finita la comedia! Finita la comedia!... — powtarzał bezmyślnie, schodząc po schodach. Nie wiedział wcale, jak się tłumaczyć przed Gladys. Czekał w bramie. Ręka mu się trzęsła, i papieros nie chciał się zapalić.

W lśniących drzwiach klatki schodowej ukazała się Gladys. Podszedł do niej mocnym, desperackim krokiem. Spojrzała na niego z wyniosłym chłodem i bez słowa poszła dalej. Szedł przy niej uparcie, od strony jezdni. Gdy przeszła na drugą stronę ulicy, zmienił miejsce tak żeby zawsze być od strony jezdni. Wszystkie uczucia i myśli poplątały się w nim i nie mógł ich rozsupłać. Mógłby jej powiedzieć na swe usprawiedliwienie tylko jedno, jedyne słowo, ale wydało mu się śmieszne mówić je na ulicy. Gladys szła wciąż w milczeniu i jakby nie zwracając na niego uwagi. Pocieszał się, że go przynajmniej nie odpędza. Przechodzili w pobliżu ogrodu miejskiego. Odezwał się pokornie: — Błagam panią na wszystko, przejdźmy przez ogród. To po drodze. Chcę pani powiedzieć tylko kilka słów. Tu na ulicy — nieprzyjemnie... Spojrzała na niego z gniewem, ale usłuchała, i weszli do ogrodu. Zastali tam opustoszały wieczór o burem niebie. Huczący rozgwar miasta upadł przed okratowaniem, jak kot na cztery łapy, ucichał i wydawał się bardziej odległy, nienatarczywy.

Wiesław zuchwale pociągał za sobą Gladys na ławkę. Wbrew przewidywaniom, nie oponowała. Ujął mocno jej obie ręce. Uczuł ciepło spływające mu w dłonie z pod fokowych rękawów jej futra. — To wszystko z miłości, z miłości... Bo ja panią kocham, a pani podobno nie lubi Polaków!... Mówił gwałtownie, zachłystując się słowami. — Ja nie chciałem pani sprawić przykrości, ale mnie gryzła ta myśl, że pani nie lubi Polaków... Przerwał zrozpaczony. Te słowa nie wywarły na niej żadnego wrażenia. W oczach jej czaiły się wciąż złe błyski, a ściągnięte usta karmiły się cierpkim posmakiem złości. — Pan mnie skompromitował, Mister Stec, i ja straciłam przez pana lekcję! — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Skompromitowałem?... Przeciwnie, to ja sam się skompromitowałem! Lekcji pani też nie straciła! Wysłali mnie specjalnie, żeby panią prosić... Ale, Gladys, przecie nie o to chodzi!? Pani mnie ukaże jak najsurowiej, jeśli pani uważa, że zawiniłem. Zniosę wszystko!... Byle pani powiedziała raz!.. Bo przecie pani wie o tem! Gladys! Czepiał się palcami jej futra, usiłował się wkraść łakomą ręką do różowej delty jej szyi pod ciężkim fokowym kołnierzem, starał się ją przyciągnąć do siebie. Odpychała go słabemi rękami. — You shouldn't do it, Mister Stec! — Więc jakże?. Niech pani powie sama! Czy to tak można dłużej?... Spojrzała na niego uważnie rozumnemi oczami. Zdawało mu się, że dojrzał w nich jakiś cieplejszy nów sympatji.

— Pan przyjdzie do mnie dzisiaj o dziewiątej wieczorem. Zdziwił się ogromnie. — Gladys! Nie chciał wierzyć swemu szczęściu. Te jej słowa, to była drabina Jakóbowa do nieba. — Gladys! O, Gladys! Przyciągnął ją przemocą do siebie. — To może lepiej u mnie?... Mieszkam sam... — szepnął. Łysnęła zimnym blaskiem oczu.— Never!... Pan przyjdzie do mnie, Mister Stec. O dziewiątej wieczorem. Tu nie można rozmawiać. Third floor, number seven — informowała rzeczowo. Wstała. — Proszę zostać, ja pójdę sama. Odeszła, nie podawszy ręki. Widział ją jeszcze w seledynowym wylocie alei. Maleńką czarną kukłę. Teraz już nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Wiedział tylko, że jeszcze dziś ma być u Gladys.

Wyszedł z ogrodu i rozgniewał się na pierwszy napotkany zegar. Było dopiero po siódmej! Ale i tak nie wróciłby już teraz za nic do domu. Rozpoczął długą wędrówkę po mieście. Starannie omijał czyhające na niego zegary. Przechodził koło nich jak obłok napotkanych znajomych, których wymijamy. udając żeśmy nie poznali. Zaszedł daleko na przedmieścia. Zaczął rozpamiętywać znowu tę swoją niedawną historję. Zanurzył się w jej klarowne wody jak w chłodną głęboką rzekę. Znalazł tam przecie na dnie jakąś gorycz nieszczerości czy fałszu. Co ma właściwie oznaczać to zgoła nieoczekiwane zaproszenie? Nie było ono bynajmniej, mowa kochającego serca! Przypomniał sobie wrogi chłód, jakim obezwładniła jego czułe zapędy. Poco go właściwie zapraszała? Dlaczego nie chciała przyjść do niego? „Never!" A czy pan Freeman nic tu nie będzie miał do powiedzenia? Perspektywa odwiedzin u Gladys straciła nagle swój płomienny koloryt i szarzała jak gasnące po zachodzie niebo. Zmęczony daleką wycieczką. wracał powoli do miasta. Szedł bez zapału. „Third floor. number seven". A co mówią zegary? Właśnie teraz, na złość, zaczęły się śpieszyć. — Co za przewrotne stworzenia!

Było już dobrze po dziewiątej gdy dzwonił do mieszkania Gladys. Na drzwiach: William C. Freeman i tytuły. Bardzo dużo tytułów. Otworzyła mu sama Gladys. — Please, come in, Mister Stec. Rozbierał się w dużym jasnym przedpokoju z lustrami. Uchylając kotary, zapraszała go do pokoju. Czyniła to jakby z przymusem. — Please, Mister Stec! Teraz właśnie zauważył, że Gladys zaprasza go nieszczerze, bez przekonania. Spojrzał jej otwarcie i przyjaźnie w oczy. Uśmiechnęła się łagodnie, a przecie jakiś obcy grymas około jej ust świadczył, że ten uśmiech jest wymuszony. Weszli do pokoju. Cały w czeczotach i szafirowym pluszu. Wysokie białe płuco kaflowego pieca oddychało z ciemnego kąta dobrodusznem ciepłem. Było tu zacisznie i ukojnie. Granatowy abażur lampy wiszącej nisko nad okrągłym stołem przesiewał omglone światło połyskujące w gładkich żółtych krawędziach foteli i ciemnem szkliwie bibljoteki. Usiedli na kanapie. Rozwłóczona nad lampą gęsta penumbra osłaniała ich jak skrzydła namiotu. Zanosiło się na intymną pogawędkę. W takich warunkach można się porozumieć! Drażniło go tylko dwoje otwartych naprzestrzał drzwi, w których czaiła się odrętwiała cisza sąsiednich pokojów. Spojrzał pytająco na Gladys. Zabawiała się, posępna, swemi bursztynami. Wtedy, wyciągnąwszy rękę do stołu, na którym pysznili się w złotym kręgu światła Hardy i Valéry, wydobył dostrzeżonego pod tamtemi książkami — Conrada. „The Rover". — Moja najulubieńsza książka! — powiedział. Spojrzała na niego bez przekonania. — Polak! — rzucił wtedy wyzywająco. — Yes — przyznała obojętnie. Odłożył Conrada. Te godziny dłużyły mu się jak wieczność.—Nie mogłem się doczekać! —zaczął pojednawczo.—Pan się spóźnił! Pochylił się nagle do jej ręki i zaczął całować z czułością.—Czemu mnie pani męczy, Gladys?—Mister Stec! Mister Stec!— powiedziała ostrzegawczo. Usłyszał skrzypnięcie podłogi w sąsiednim pokoju. Obejrzał się. — Służąca? — No, no! Nobody! — powiedziała prędko, usiłując uwolnić swą rękę. — Nie puszczę! — mówił napół żartem, patrząc jej badawczo w oczy. — Nie puszczę, dopóki mi pani nie powie, jak to tam z tymi Polakami? Więc

---

[1]) Czy pani lubi Polaków?

Gladys, jak to jest z tymi Polakami? Schylił się nisko, aż do jej kolan, szukając pocałunkiem jej cofającej się ręki.—Mister Stec! Mister Stec! — powtórzyła z przerażeniem. Zsunął się z kanapy i nawpół klęcząc objął rękami jej kolana. — Gladys?

Schylony, uczuł nagle piekący ból w plecach od cięcia szpicrutą. Gladys odskoczyła od niego, przewracając fotel.—I like! Zachłysnęła się trwogą. Zimny dreszcz przeszył mu krzyż pod nowem wściekłem uderzeniem. — I like passionately polish people! [2]) — syczała Gladys jak żmija. — I like passionately polish people! Pożar zdumienia i wstrętu spalił w nim wszelką chęć obrony. Pozwolił się uderzyć trzeci raz. — I like passionately polish people!— darła się już teraz wściekle Gladys, tupiąc nogami. Miał tego dosyć. Odwrócił się jak ryś ku niebezpieczeństwu. Wtedy mściwy ogon szpicruty smagnął go boleśnie przez ucho i szczękę. Mgła przysłoniła mu oczy. Zachwiał się. — Stop, that will do, Willy! Usłyszał zduszony łzami szept Gladys. Cofnął się. Zdążył złapać w powietrzu lecącą na niego szpicrutę. Wyszarpnął, ją grzecznie świstem ruchem ręki i cisnął pod nogi Gladys. Rzucił się na ślepo, z krwią w oczach na tego draba. Zwalili się na ziemię, wywracając stół. Wtedy Wiesław przygniótł zaraz kolanem pierś przeciwnika. Rozjuszony, wystukiwał jego czaszką jak młotem głuchy takt na dywanie. Usłyszał za sobą bezradny płacz Gladys. Rychło wyczuł nicość bojową napastnika. Stracił chęć do walki. Chuchro, nie Anglik! — Mister Stec, mister Stec! — wołała, szlochając, Gladys. Uścisk tamtego zelżał. Wiesław odjął ręce od jego żylastej szyi i spojrzał ciekawie. William C. Freeman przypominał trochę Gastona. Miał, jak tamten, dużą piegowatą twarz i ryżą szczeć na kanciastym łbie. Oddychał ciężko, nieprzytomny.

Wiesław wstał, omijając spojrzeniem Gladys. — Nikczemna! — myślał o niej z pogardą. Zmrużył oczy pod jaskrawą oświetlą, bijącą od złotych kłączy żyrandola. Freeman, wchodząc, zapalił widocznie to światło. — Wody! — powiedział, wskazując na leżącego Williama. Gladys stała pod piecm, zasłoniwszy twarz rękami. Ze szpar jej różowych palców ciekły rzesięste łzy. Na ten widok zdjęła nagle Wiesława niewysłowiona tkliwość. — Właściwie, to ja nawet nie mam do pani żalu, Gladys! — powiedział łagodnie. Zatrzepotała szybko rękami. — Mówiłem wszak, że wolno pani ukarać mnie najsurowiej! Oddychał, zmęczony srodze. Patrzała na niego z podziwem i uwielbieniem. Jej mokre od łez policzki naklęsły ślicznym rumieńcem. Poruszyła bezszelestnie wargami. Odwrócił się. Zrozpaczony, zbierał się do wyjścia. Schodził poomacku ze schodów. Pod zamkniętemi powiekami niósł cudowny wizerunek zapłakanej Gladys. Już jej nigdy więcej nie zobaczy! Zaskowyczała w nim, jak pies, nagła, obłąkana tęsknota. Przeszedł na drugą stronę ulicy, żeby choć jeszcze raz zobaczyć te okna, za któremi ona mieszka. „Third floor, number seven." Odnalaz je odrazu. Jedno z nich oszukiwało go najwyraźniej, ukazując w oświetlonym prostokącie szyby samą Gladys. Nie wierzył. Przetarł oczy. Smukła sylwetka Gladys stała tam wciąż jak cudowny drogowskaz miłości. Stłumił oddech. Z pewnością widzi go również, stojącego z podniesioną głową w świetle latarni, na opustoszałej ulicy. Teraz mu daje ręką jakieś znaki i odchodzi od okna. Czekał cierpliwie. Może jeszcze wróci. Wróciła. Ubiera się w oknie. Wkłada prędko kapelusz i ciężkie fokowe futro. Chwycił się jak pijany słupa latarni. Dobrze jest dotknąć gorącym policzkiem obłego wilgotnego żelaza. Znikła z okna. Rzucił się pędem do bramy. Czekał na schodach. Ktoś schodził powoli i ostrożnie. Ona. Zatrzymała się na ostatnim najniższym schodku, patrząc na niego z niepokojem, prosto w twarz. Potem, podniósłszy ręce, upadła mu, jak nieoczekiwane szczęście, w ramiona. Objęła jego szyję ciepłą pieszczotą fokowych rękawów. Mściwym pocałunkiem zmiażdżył za to jej wilgotne usta, wrzynając się zwycięsko pożądliwemi wargami aż do perłowej palisady drobnych, mocnych zębów. Chwiała mu się w ramionach. Niósł ją niemal do auta.

— Ja ogromnie lubię „Korsarza!" — wyznała mu tam cichutko, kryjąc twarz w kołnierzu jego futra. Oszołomieni tym nowym cudem świata — słodyczą ich ust — jechali złączeni niedosytem pocałunku, kołysząc nieprzytomnie głowami, powolnemi huśtaniu auta. Jak pijani, dowlekli się do jego mieszkania. Wyłuskał ją, najsłodszy orzech miłości, z ciężkiej łupiny futra. Podniósł swemi mocnemi rękami w górę. Owinęła się dokoła jego szyi pachnącemi ramionami. Żeby nie upuścił! Nie upuści! Stał przez chwilę na środku pokoju niby Romulus, dźwigający Sabinkę, zachwycony porwaną zdobyczą i upojony winem pychy. Powinien go teraz podziwiać zatrzymany w biegu świat, jak szeroki i długi, bo oto niesie, wspaniały zwycięzca, całą Wielką Brytanję na swych rękach!

Tymczasem ona drżącemi palcami szukała na jego policzku pręgi od uderzenia szpicrutą. — Ten zdrajca Willy! Miał go uderzyć tylko dwa razy, w plecy!... Tak się umówili! Niegodziwy!. Całowała to miejsce na policzku mokremi od pocałunków wargami. Mroczył go kuszący, słodki jak brzoskwinia, zapach jej młodego ciała. Podała mu, nieprzytomna, gorący ponsowy daktyl ust.

Wtedy krokiem rzymskiego atlety poniósł swe królewskie trofea bóstwu miłości na całopalenie.

[2]) Ja szalenie lubię Polaków!

KSIĄŻKA EWY SZELBURG

Bibljoteka Beletrystyczna Towarzystwa Wydawniczego, Książka II. Redaktor *J. Marikowicz. Ewa Szelburg.* Dokąd? Warszawa, (1926); str. 4nl. i 121 i 7nl.

„Dokąd?" Ewy Szelburg, rzecz o niepospolitych walorach i równie wielkich wadach, jest książką całkowicie hors ligne; nie dałaby się ona streścić (co tak znakomicie ułatwia zadanie recenzentom!), ani w przybliżeniu opisać, ani też wtłoczyć w formułę gotowego gatunku literackiego. Może wywołać reakcje wyłącznie krańcowe: zachwyt, niechęć lub... przemilczenie. Bo utwór ten, przezwany „powieścią", należy do kategorji nawskroś niewygodnych; zasadniczą jego zaletą jest właśnie zrezygnowanie *zgóry* z popularności (nieświadome raczej, najściślej związane z samą organizacją artystyczną autorki), zupełny brak chacharkterystycznego dla polskich pisarzy zeza w stronę czytelnika lub nieśmiertelności: nienapróżno przecież jesteśmy „Francuzami Północy"; jest to książka dla nikogo; całkowicie *samotna* (nareszcie!). Przypomina jakby celę więźnia, po której nagim murze drapie ktoś skrwawionemi palcami z ostatecznym *daremnym* wysiłkiem. *Książka, która nie wyobraża sobie fikcji idealnego czytelnika* (jakżeż to bywa pocieszające!), napisana — i to stanowi jej kobiecość — pod nakazem ślepego przyrodniczego musu. Książka o obłędzie i potępieniu, z gorzkim posmakiem historji, doskonały okaz patologicznego piękna: flagellantyzmu psychicznego, pogmatwany straszliwie w jakieś supły i gruzły guślarski brewjarz rzucania i odczyniania uroków jadowitemi ziołami słów, książka zdumiewająca przez nowość i bezkompromisowość swego wyrazu, a całkowicie anachroniczna w treści— książka *bez racji,* bez umotywowania, szlachetnie bezcelowa, prowadząca w tragiczne nigdzie.

Ale przez to właśnie zmuszająca krytyka do rewizji wszelkich ustalonych „założeń".

Pragnę zaraz na wstępie, dla uniknięcia nieporozumień, określić własne swoje stanowisko. Nie uważam bowiem za przypadek następujących danych: mądra i roztropna Klementyna z Tańskich Hofmanowa, pierwsza *literatka* polska na większą skalę, nieskazitelną przytem pisząca polszczyzną, była chora fizycznie od wczesnego dzieciństwa; niesłusznie zapomniana autorka kilku ślicznych powieści obyczajowo-sentymentalnych z czasów Królestwa Kongresowego, Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska, również była ułomna; Narcyza Żmichowska, egzaltowana poetka i pierwszorzędna artystka słowa, sięgająca wirtuozerji, staropanieństwo osładza sobie służeniem sprawie publicznej. Przykłady możnaby mnożyć, ale z rozmysłem wybieram te „historyczne" już nieco postacie, i to z pośród kobiet piszących bynajmniej nie zasługujących na lekceważenie. Sądzę, że naogół tylko mężczyzna może odczuwać w sztuce i manifestować dumę swego powołania, lżej przezwyciężając wstydliwą dwuznaczność swej niepewnej pozycji duchowej i społecznej. Kobieta i tutaj wydana jest na łup, musi doznawać w silniejszym jeszcze od nas stopniu, że talent artystyczny jest uszczupleniem osobowości we wszystkich innych dziedzinach i wstydzić się go prawie tak jak *defektu organicznego.* Ale stąd płyną wielorakie konsekwencje.

Gdy zapoznaję się z literacką twórczością kobiet, zwykle powraca mi na nowo stare określenie Pascala o „trzcinie myślącej"; tu znajduje ono, pozbawione akcentu tragizmu, dopiero zastosowanie w całej pełni. Tylko że myśl kobiety jest zazwyczaj nieporozumieniem, podobnie jak cała upiorna książka Ewy Szelburg, świadectwo ogromnego, ale pomylonego talentu. O ile bowiem kobieta chce być czemś więcej niżli artystką, dać wartości t. zw. „ogólno - ludzkie", przyznaję, nie wierzę w taką twórczość kobiecą. Także w sztuce brak kobiecie organu poznania (nie ona to jadła z drzewa wiadomości złego i dobrego); jest ona skrzypcami, na których gra wiatr szum pierwszy lepszy: stąd jej rola odwiecznej, nietylko romantycznej, muzy i inspiratorki. *Kobieta nie potrafi wybierać,* lub czyni to cudzą przejęta miarą: jest z natury rzeczy niezdolna do syntezy, choćby do tej, która ucieleśnia jej epokę. Jest tancerką zamkniętą w rytm wszechrzeczy. Nie napisała nigdy symfonji. Jest wspaniałym pretekstem cudzego życia. Dlatego tam, gdzie dać ją usiłuje, dźwignąć ów „metafizyczny ciężar istnienia", — daje syntezę *kaleką.* Oto czemu bywamy tak zażenowani, zawstydzeni pomyłką wielkich talentów kobiecych. Jeśli gdzie kobieta realizuje się istotnie, to tam, gdzie czyni to *mimowiednie,* gdzie przeżarta jest właściwem swem powołaniem — miłością — jak trądem, gdzie wysuszona jest, jak wiór: w „Listach" Marjanny d'Alcoforado i panny de Lespinasse, w „Sonetach" Luizy Labé, w straszliwie rozszlochanych elegjach Marceliny Desborde-Valmore, w cudownych skargach Safony, w niektórych wierszach Iłłakowiczówny, wreszcie w ekstatycznych dytyrambach św. Teresy.

EWA SZELBURG

Rzecz Ewy Szelburg jest na pogranicznej linji: jest to niezupełnie donoszona poezja. Jej przetłoczona wizyjność jest całkowicie nieopanowana: ponosi autorkę jak woda niosąca ją, gdzie zechce, na czarnej fali. U dna jest piękny materjał płynnej irracjonalności (pomimo symbolicznej dekoracyjności zaczątki polskiego surrealizmu), widzialność koloru zielono-bronzowego, lepki ił, z którego lepi się nieporadne i poczwarne grudki. O tej książce decyduje właśnie wizjonerskość, wysokiej naogół próby, ale *wizjonerskość bez umotywowania.* Stąd jej forma, a raczej brak kształtu: gdyż jest to proza poetycka bez formalnych założeń (rodzaj zgubny wbrew zastrzeżeniom Irzykowskiego), znów zdana tylko na organiczną wybuchową siłę talentu. Prawie wszystkie zresztą wizje p. Szelburg wyróżniają się niepospolitem natężeniem, *jedynem jej dążeniem stylowem jest dążenie do ekspresji.* Oto rozkwitać zaczyna polski ekspresjonizm, spóźniony o dobre lat dziesięć.

Nie podejmuję się skądinąd określić dokładniej, na czem polega niezaprzeczona oryginalność, chorobliwy urok zgnilizny tej wróżbiarskiej, nieustępliwej, zajadłej aż do mściwości książki. O „Niebieskim ptaku" Maeterlincka powiedziano kiedyś trafnie, że jest on zbyt poważny dla dzieci, a za mało na serjo dla dorosłych; coś podobnego dałoby się zastosować do pierwszego utworu p. Szelburg, gdy na miejsce dzieci postawimy normalną czytającą publiczność, a na miejsce dorosłych — t. zw. „fachowców", czyli literatów. Czy jest to poezja? Raczej jej surogat w dobrym gatunku: zmodernizowana baśniowość, czyli to, co niekiedy kobietom zastępuje poezję. *Tam bowiem, gdzie mężczyzna dałby mit, kobieta daje klechdę.* Raz jeszcze odnajdujemy zdumiewającą zdolność stylizacji, *gotowy styl* dla odtworzenia wrażeń najbardziej przeczulonych i sensytywnych (z dziedziny, żeby tak rzec, lunatyczno-hipnotycznej, czyli à la longue działającej manierycznie), upodobanie sobie podszeptów krwi: raz jeszcze dręczące wplątanie się w roślinność ciała. Książka ta zamknięta jest hermetycznie na siedem zamków rozpaczy, jest jak szyfr, od którego zgubiono klucz czy też rzucono na przeraźliwe głębie (które bezustannie się insynuuje). Często powtarza się tu motyw wody, zielonej i gnijącej, coś z „Zatrutej studni" Jacka Malczewskiego i jego pół-ludzkich, pół-anielskich zjaw: stworów symbolicznych duszących we śnie (jeden anachronizm więcej). Wszystko jest tu widmowo przerysowane: świat widziany jakby szklistemi oczami embrjona. Niema tu nawet ludzkich schematów, tylko wielkie wodogłowe dzieci z bajek Wojtkiewicza, groteskowe kukły przebrane w nierzeczywiste rozczulające szmatki; jest to *prymitywna straszność masek,* spotykanych na archipelagach Oceanji. Książka ta bowiem składa się, jeśli się wyrazić tak wolno, — z samych rudymentów, z pierwotnych resztek, które tkwią najgłębiej w każdym z piszących pod skorupą kultury, zwłaszcza o ile miał nieszczęście urodzić się poetą: nieprzezwyciężonych strzępków dzieciństwa, snu i mętnych zwidów — przeniesionych z mułu dawnych epok ludzkości, tonącej w ciepłej plazmie. Ale naprawdę trzeba na to bezkrytycyzmu kobiety, całej jej animalności, aby dźwignąć to na światło dzienne. Jakiż w tem cel, objektywny cel, usprawiedliwiający samą książkę, leżący u dna jej powstania? Jest to jedna więcej, wszystkie znamiona talentu gromadząca książka, która zwiększa bezkierunkowość polskiej literatury lat ostatnich, gdyż pisana jest pod naporem instynktu. A nam trzeba drogowskazów kultury. Ale oryginalność i odwaga tej książki, która bynajmniej nie jest zresztą „powieścią", jak to gwoli zwiększenia dezorjentacji zaznaczono na karcie tytułowej, jest niewątpliwa i głęboka. Pod tym względem biją nas kobiety na głowę.

Czy jest to rzecz o jakichkolwiek założeniach świadomych? Wątpię. Czy nieprzystępność jej jest zamierzona, czy wprost płynie z „konfliktów duchowych" autorki? Jeśli tak, byłby to jeden dokument więcej groźnego bankructwa uczuciowego, postawy *klęski,* jaka cechuje polską inteligencję powojenną, jej bezdrożności. Drogowskaz tragiczny „Dokąd?" prowadzi na ugór jałowy, w ślepą uliczkę wewnętrznego szamotania się o sprawy ostateczne. Pewnie nie może być inaczej dzisiaj. Ale to łamanie się z Bogiem, to pukanie do gwiazd o sens wszechświata jest niezmiernie znamienne dla chwili obecnej, podobnie jak po każdym bezsensie wojny, po każdej bezideowej katastrofie zalewa kulturę powrotna fala mistycyzmu. Oczywista, gdzieindziej, na Zachodzie i Wschodzie, mistycyzm ten i bezideowość — dwie niewiadome równania nihilizmu — coraz brutalniej bywają demaskowane. Ale u nas fala wzrasta. Ewa Szelburg nie wychodzi poza guslarski pandemonizm. Nie wiem, ile jest w tem partie prie, ile przypadku, śmiałości, czy nieporadności? Treść duchowa tej książki jest raczej niewspółczesna: odbite od brzegu echo ech Micińskiego i Przybyszewskiego z omastą dekoracyjno-symbolicznych świątków, które tak się ostatnio rozhulały po polskiej literaturze. Autorka rzucona jest na ciemne bałwany rozhukanego mare tenebrarum, jak lilja oderwana od dna, tam i sam chybotana przez uśpione fale. *Jest oderwana od podłoża* (kto wie, czy nie społecznego?), *pozbawiona korzeni,* — i to jest zaiste symboliczne. „Dokąd?" jest jak straszny kikut, strzaskany przez pocisk wielkiej wojny, kość nadłamana, groźnie stercząca z ramienia. Wizje tej książki ogromnieją przy końcu ze wspaniałym patosem. Od zburzenia Messyny w „Xiędzu Fauście" Micińskiego nie było ponoć w polskiej literaturze podobnego rozuzdania wyobraźni (bez jego mocy i genjalnej przejrzystości), a od kasprowiczowskich hymnów — słów, tak przeraźliwie opiewających ból wszechrzeczy. Jest to książka, którą się w gniewie szarpie i strzępi, gdyż mówi dusznym bełkotem snu o beznadziejnem zawieszeniu między otchłaniami: o czyśćcu między piekłem ziemi a niepewnem niebem, pomalowanem w obojętne anioły.

Stefan Napierski.

NOWELE SZAŁU

Amok. Nowele szału. Napisał *Stefan Zweig.* Tłumaczyła z niemieckiego *Zofja Tadeuszowa Rittnerowa.* Warszawa, „Panteon", (1927); str. 310 i 2nl.

„Nowele szału" są napozór sensacyjne i zaczyna się je czytać ze specyficzną ciekawością, jaką stwarza lektura dzieł „niesamowitych" i sensacyjnych. Ciekawość nie słabnie w miarę czytania, ale cel do jakiego prowadzi jest zupełnie inny i wznosi nas na wierzchołek schodów wzruszenia, skąd z drżeniem serca odkrywamy niedostrzegalne i niekonstatowane jeszcze drgnienia i odruchy natury ludzkiej. Streszczać się tego nie da, tak jak się nie da streszczać wierszy. Liryczny podkład tej książki jest zresztą osłonięty kolorami świetnych opisów i świadomie zagłuszony akcją żywą i oszołamiającą.

Pomimo pozorów ewersowskich, zwłaszcza w „Amoku", opowieści Zweiga są od nowel Ewersa odrębne. Niefałszowana bowiem, choć nieraz jakby nadto wymyślna poezja oświetla jego książkę. — Jedna z charakterystyczniejszych może nowel, „Ulica w świetle księżyca", przypomina genjalną opowieść Manna „Ludwiczka", — ale wywołując to samo wzruszenie, — wieczyste uczucie litości nad poniżeniem i wstydu wywołanego tą litością, — opowiedziana jest piękniej, a nadewszystko plastyczniej. Zweig jest mistrzem w opisywaniu pejzaży zewnętrznych, opisuje nie konstatując, ale w zależności od tego, kto i w jakich okolicznościach patrzy i odczuwa. W ten sposób każda scenerja, każdy obraz i dekoracja opowieści łączy się integralnie (jak w wierszach lirycznych) z jej treścią psychologiczną i akcją, potęgując wrażenie. Niema poprostu sceny, epizodu, któryby nie był tak pojęty, zacząwszy od spotkania poety z doktorem o świecących okularach w „Amoku", skończywszy na melancholijnym odjeździe z Marsylji w „Ulicy w świetle księżyca".

Troska o przeprowadzenie akcji sprawia istotną rozkosz. Modny obecnie w powieści sposób „konstatowania rzeczy zwykłych" graniczy najczęściej z nudą i staje się nie do zniesienia. Jako jednego ze środków techniki powieściowej żąda się inwencji i pomysłowości. Prozy poetyckiej i „szarych" scen z życia codziennego czytać już nie można. Wzmocnienie i wzbogacenie inwencji, odświeżenie akcji, która byłaby zdolna zmusić do uwierzenia w jej autentyczność, chociażby najnieistotniejszą, ogarniać i pociągnąć za sobą, — wydaje się konieczne. Spragnieni jesteśmy bowiem poddać się pisarzowi i pić z nim razem kielich wzruszeń, jaki nam w ukryciu podaje.

Historja „Listu od nieznajomej" może wydawać się z wielu powodów naciągnięta. Ale przez sugestjonujący sposób, w jaki jest opowiedziana, wciąga nas w obręb swego literackiego istnienia i zmusza do wzruszenia. Tysiące kobiet z różnych „życiowych powieści" cierpi i umiera, drażniąc i niecierpliwiąc. Pisząca list z opowieści Zweiga wzrusza niezwykłą historją swej miłości prostej i jednocześnie niezwykle skomplikowanej, — i już nie da się zapomnieć, tak jak nie można zapomnieć Anielki, zmyślonej przez Prusa.

Jeżeli patos dramatyczny i powiewy wyrafinowanego liryzmu nie owieją czytającego „nowele szału", to pozostanie, jak już zaznaczyłem, olśniewająca pomysłami, świetna, żywa, ciekawa fabuła, — zaciekawiająca nietylko całością, ale i perfidnemi szczegółami i efektami zakończeń.

Obecny okres powieściopisarstwa w Polsce przypomina podróż przez pustynię. Każda — przeciętna nawet — książka przychodząca z zagranicy jest jak postój w oazie. Postój to przecie melancholijny, bo choć oaz tych coraz więcej, pustynia czeka w dalszym ciągu: są nią odcinki naszych pism codziennych, tygodniowych literackich, nowele nadsyłane na konkursy i niestety większość wydawanych książek. Tem skwapliwiej sięga się po zagraniczne tomy prozy, która w krajach pracowicie literackich wywala na różne strony znane mury, otwierając coraz nowsze sposoby techniki pisarskiej, a przez to pobudzając do odświeżenia naszych stępionych możliwości wzruszania się, entuzjazmowania i myślenia.

stb.

„KACERZ Z SOANY"

Gerhart Hauptmann. Kacerz z Soany. Powieść. Przełożył *L. Staff.* Stanisławów, „Renaissance" (1927); str. 158 i 2nl.

„Kacerz z Soany" poczęty jest z tej samej myśli co i „idylla tragiczna" — „Błąd księdza Mouret" Zoli. Ksiądz ulegający ciału. Niezaznawane uczucie, gdy wybucha, rozpłomienia się z całą siłą, obcą ludziom, którzy nie zakosztowali ascezy. U księdza oddanie się miłości jest zdradą samego siebie, jest w rzeczy samej zaprzeczeniem całego swego dotychczasowego życia. Ksiądz Mouret ginie moralnie: nie zapomniał o swojej zdradzie; gdy budził się z chwil miłosnego zapomnienia, musiał pamiętać o swem sprzeniewierzeniu się ołtarzowi, już nawet — nie sobie. Wyrzut sumienia jest tu dosłownie ucieleśniony w ołtarzu. Hauptmann lekką ręką przecina węzły, przez życie związane. Ksiądz zostaje „kacerzem z Soany" — tak nazywają go okoliczni mieszkańcy. Pędzi on życie pasterskie wraz z żoną, życie małżeńskie, nieuznane chyba przez kościół. Jako rozwiązanie praktyczne—życie takie było jedynem wyjściem. Ksiądz poza swemi obowiązkami nie ma żadnego innego zawodu. Po zerwaniu z kościołem zostaje wolnym, dzikim napoły, szczęśliwym w miłości pasterzem. W pomyśle jest to doprawdy pieśń triumfującej miłości. Jako zgłębienie problematu stoi o wiele niżej od wspaniale stopniowanej w rozrastaniu się miłości powieści Zoli.

GERHART HAUPTMANN
portret Lea von König

hr.

ORGANIZACJA PRACY

Wincenty Jastrzębski. Organizacja pracy fizycznej. Wykonywanie wysiłków. Warszawa, 1926; str. 8nl. i 168.

W sposób energiczny występuje autor przeciw tayloryzmowi i chronometrażom, zarzucając im, że stworzyły pseudonaukową organizację pracy. Wyzyskuje ona żywy motor ludzki, od którego domaga się wzmożenia wysiłków, lecz wysiłków tych nie ułatwia.

Dopóki w organizacji pracy będą rozstrzygały cztery fetysze, — inżynier, zysk, działalność gospodarcza, maszyna, — dopóty nie można mówić o uczciwem postawieniu kwestji. Organizacja naukowa musi się oprzeć na badaniach fizjologicznych i psychologicznych. Badania fizjologiczne umożliwiają obliczenie t. zw. obciążenia naturalnego i wykazują doniosłą wartość rytmiczności wysiłków fizycznych. Względy natury bardziej duchowej domagają się wprowadzenia do organizacji trzech dalszych podstaw, mianowicie: holownictwa, środowiska i izolacji wysiłków fizycznych.

Znaczenie rytmiczności w pracy nie ulega wątpliwości, dowodem choćby odwieczne pieśni, towarzyszące pracy. Dzięki rytmiczności powraca minimalny, lecz istotny odpoczynek, bo każdy inny, nawet dłuższy, jest tylko oczekiwaniem dalszej pracy, które trzyma świadomość i mięśnie w naprężeniu. Holownictwo jest obrazowem wykazywaniem przedmiotowej możliwości wykonania wysiłków. Na tem polega ważność i wartość rozmaitych przodowników i przodownic.

Autor rozróżnia wogóle kilka postaci holownictwa, które (nie wszystkie) powinny znaleźć zastosowanie w naukowej organizacji pracy.

Środowisko wysiłków fizycznych winno być takie, by podtrzymywało naśladownictwo i współzawodnictwo, usposabiające robotnika do zmagania się z przeszkodami wytwórczemi.

Z tą sprawą łączy się ściśle piąta zasada: izolacja wysiłków fizycznych, którą widocznie dobrze zrozumiało średniowiecze, tworząc dzielnice przeznaczone dla poszczególnych rzemiosł. Chodzi tu przedewszystkiem o to, aby oddzielić wysiłki umysłowe od wysiłków fizycznych, oczywiście nie w znaczeniu krańcowem, gdyż nawet łopatą nie można pracować bezmyślnie.

Słowem dzielnica pracy ludzkiej powinna być świętem miejscem, organizmowi zaś ludzkiemu nie można zadawać gwałtu w imię wzmożenia produkcji.

Interesująca książka p. Jastrzębskiego ma także znaczenie ogólne, bo zasady organizacji pracy, poruszone przez niego, mogą znaleźć zastosowanie w każdej dziedzinie życia, a więc i w szkole. Pedagog znajdzie w niej uwagi, które mu się przydadzą w organizowaniu pracy szkolnej.

wj.

„BETSABA" ZEGADŁOWICZA

Poznań, w czerwcu 1927.

Poznań interesuje się twórczością Emila Zegadłowicza. Wystawił jego „Lampkę oliwną" drugi po Krakowie. Pierwszy wprowadził na scenę „Głaz graniczny". Teraz pokazał „Betsabę".

Seta (Korecka) i Betsaba (Solska)

Dramat ten pojawił się już wprawdzie w połowie marca b. r. w teatrze lubelskim i dzięki reżyserji Wysockiej cieszył się tam znacznym scenicznym sukcesem. Dopiero jednak w Poznaniu rolę tytułową kreowała Irena Solska. To też premjera w Teatrze Nowym była pierwszem ważnem zdarzeniem w życiu teatralnem dramatu o pięknej żonie Urjasza Hetejczyka, bo znakomity reżyser, Wysocka, tu dopiero mógł oprzeć budowę sceniczną misterjum na współpracy świetnego wykonawcy.

Nazwano „Betsabę" oratorjum. Tak samo słusznie można mówić o niej jako o misterjum. Akcja, w znaczeniu dramatu realistycznego, odgrywa tu rolę niewielką. Treścią jest modlitewne oczekiwanie nadejścia Zbawiciela, przeczucie, że pełnią się boże wyroki i nawet „przez winy i przez grzechy" zbliżamy się do ostatecznego celu — do wybawienia. Zdarzenia nabierają wymiarów nie z tego świata, postacie przerastają same siebie.

Fakt, że Betsaba, szukając ojca dla Mesjasza, którego pragnie porodzić, zbliża się do króla Dawida i z nim zespolona tajemnicą poczęcia, staje się powodem śmierci własnego męża, jest interesującem zadzierzgnięciem węzła intrygi, ale blednie wobec wielkości przeżyć bohaterki i króla Dawida, gdy oboje ponoszą od Boga karę za nadmierną pychę przepełniającą ich serca i cierpią z powodu śmierci dzieciątka; a potem niknie wobec nagłej radości pokutników, gdy litościwy Bóg, ustami proroka Natana, oznajmia, że staną się ogniwem, rodzicami Salomona, z którego pokolenia „zbawienie ziemi wynidzie".

Trzy pierwsze akty są tylko przygotowaniem do tego krzepiącego „Hosanna", do kornego powitania betleemskiej stajenki w podniosłym epilogu „Betsaby".

Na poznańskich wieczorach „Betsaby" publiczność stale dzieliła się na dwa wrogie sobie obozy. Zwolennicy żywej akcji, zagmatwanej intrygi, popisu aktorskiego kilku bohaterów, nie mogli pogodzić się z misteryjnością dramatu, z powierzeniem głównych ról tylko Betsabie, Dawidowi i chórowi. Modlitewność dramatu, jego śpiewność i nastrojowość, nużyła ich. Na szczęście znalazło się na siedmiu poznańskich wieczorach „Betsaby" także sporo widzów zasłuchanych w muzykę pięknego słowa Zegadłowicza.

Krytyka poznańska przyjęła „Betsabę" z dużem zrozumieniem i gorącemi pochwałami dla pięknego wiersza poety. Zgodnie wychwalano również ofiarność prywatnego teatru, dyr. Rudkowskiego, który zapewnił premjerze najlepsze warunki artystycznego powodzenia, zapraszając na gościnny występ w „Betsabie" dwie znakomite artystki.

Premjera „Betsaby" przyśpieszyła decyzję poznańskiej komisji teatralnej miasta Poznania i skłoniła magistrat do zrobienia kroku, który powinien Wielkopolsce przynieść w nowym sezonie dramatycznym wielkie ożywienie i wydoskonalenie życia teatralnego.

Głównym reżyserem miejskiego Teatru Polskiego została Stanisława Wysocka, pierwszym kierownikiem literackim teatru dramatycznego — Emil Zegadłowicz.

Współpraca tej niezwykłej pary „ludzi teatru", tak ładnie zademonstrowana w Poznaniu na prywatnej scenie na przedstawieniach „Głazu granicznego" i „Betsaby", teraz na szerokiem polu działalności artystycznej znajdzie zapewne pełny swój, oby jak najwspanialszy, wyraz, ku pożytkowi polskiej twórczości dramatycznej i teatru.

Steł.

NOWOŚĆ

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKIJ

WYBÓR POEZYJ

CENA ZŁ. 3.60

WYDAWNICTWO „KSIĄŻKA"
KRUCZA 26

Zaszczytna karta w dziejach Teatru Polskiego

Wybitny czyn artystyczny Leona Schillera „SAMUEL ZBOROWSKI" NA SCENIE

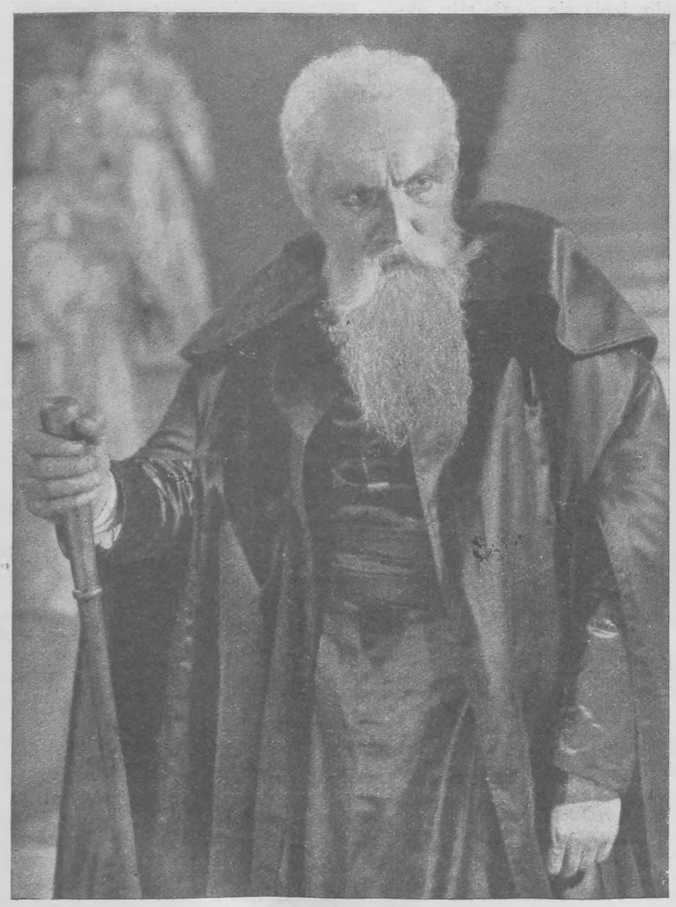

fot. Brzozowski

Kanclerz Jan Zamoyski (Wacław Nowakowski)

fot. Brzozowski

Lucyfer (Karol Adwentowicz)

fot. Brzozowski

Samuel Zborowski (Gustaw Buszyński)

fot. Brzozowski

Skalna okolica: Heljon (Józef Maliszewski), Heljana (Marja Malicka), Chór Duchów (Ewa Kuncewiczówna, Michalina Szpakiewiczowa, Janina Wodyńska)

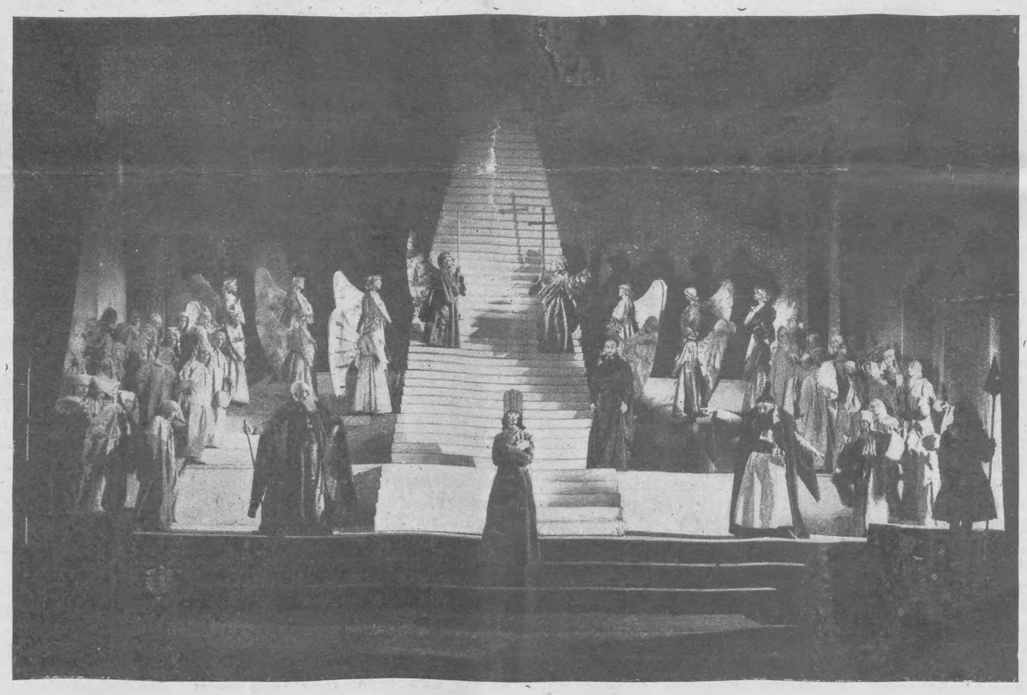

W krainie nadziemskiej

fot. Brzozowski

Skalna okolica: Walkirje (Helena Uszyńska, Zdzisława Życzkowska)

fot. Brzozowski

W zamku księcia Poloniusa: Heljon (Józef Maliszewski), Chór Duchów (Ewa Kuncewiczówna, Michalina Szpakiewiczowa, Janina Wodyńska)

fot. Brzozowski

W królestwie podwodnem oceanid: Lucyfer (Karol Adwentowicz), Heljana (Marja Malicka), Amfitryta (Michalina Szpakiewiczowa), oceanidy (Janina Wodyńska, Janina Wróblewska)

Szanownym Czytelnikom, którzy do dn. 19 b. m. nie odnowią prenumeraty na kw. III (zł. 9.— w kraju, dol. 2.—zagranicą, konto w P.K.O. 8.515), dalsza wysyłka pisma zostanie wstrzymana

„Aktorki"

Teatr Narodowy: „Aktorki" komedja w 4 aktach *Stefana Krzywoszewskiego;* reżyserja *Ludwika Solskiego,* dekoracje *Wincentego Drabika.*

Wysoki Sądzie!

Nigdy nie byłem zwolennikiem zbyt ordynarnych wymysłów, nie lubię również słów nieprzyzwoitych. A jednak czasem w cichy wieczór letni, siedząc wygodnie w pierwszych rzędach teatru, przebiegam nie bez lubości po dość bogatej gamie naszych rodzinnych przekleństw. Panowie sędziowie! Przyznaję się, iż słowa brzydkie i nieobyczajne cisnęły mi się na wargi w nocy z dn. 8 na 9 b. m., ale umiałem je w samą porę powtrzymać. A jeśli zamiar przestępstwa podlega karze, proszę o wysłuchanie okoliczności łagodzących. Przeszłość moja jest nienaganna — poza paroma sprawami o obelgi w druku i o zakłócenie spokoju publicznego nigdy nie miałem do czynienia z sądem.

Ale wróćmy do sprawy. Wyżej wspomnianego wieczoru udałem się do Teatru Narodowego za płatnym biletem i już po wysłuchaniu pierwszego aktu sztuki p. Krzywoszewskiego p. t. „Aktorki" zelżyłem teatr, dyrekcję i autora trzykrotnie. Mimo iż pan prokurator żąda ode mnie, abym powtórzył głośno te obelżywe słowa, — nie uczynię tego, jest to bowiem zwykły ordynarny podstęp. Słowa te wypowiedziałem tylko w myśli i pozostawiam je domyślności panów sędziów.

Teatr Narodowy korzysta z poteżnych subwencyj, ponieważ celem jego miało być krzewienie literatury. Nie jest to prywatna impreza dochodowa, ale instytucja społeczna. Mamy więc prawo wymagać choćby najskromniejszego poziomu repertuaru. Wystawienie „Aktorek" musi przynieść deficyt kilkudziesięciu tysiecy złotych. Pieniądze te sa wyrzucone w błoto w dosłownem tego słowa znaczeniu. Teatr Narodowy pokazał nam sztukę jednego z najgorszych pisarzy współczesnych, i to sztukę z przed lat dwudziestu.

Teatr sięgnął do przeszłości poto, aby zademonstrować nam problemat niezwykły. Autor występuje w obronie aktorek, i nic dziwnego, jedyna to bowiem osoba, która może bronić „Aktorek". Autor potępia przesądy nie pozwalające posłom sejmowym żenić się z aktorkami. Kulminacyjna scena to wyrzucenie aktorek za drzwi przez siostrę posła. Kobieta ta nie chciała pzyjąć „Aktorek", i żałować należy, że p. Lorentowicz nie był tą kobietą.

Autor odkrywa bezlitośnie ohydną ranę społeczną, jaką jest nasz dzisiejszy stosunek do aktorek. Flirtujemy, kochamy się, żyjemy z niemi, ale do ołtarza prowadzimy inne kobiety. Niezwykła aktualność i prawda tego spostrzeżenia zmusiła mnie, przyznaję, do zelżenia (w myśli) autora i kierownika ltierackiego. Gdybym chciał was wzruszyć, panowie sędziowie, nie poprzestałbym tylko na podaniu treści tej sztuki, dałbym wam próbki dialogu, opowiedziałbym wam żałośnie i płaczliwie, jak sam mecenas Paschalski, o dowcipach, które są w sztuce p. Krzywoszewskiego, o kalamburach na temat sztuki i sztuki mięsa (jeśli oskarżyciel zaprzecza, proszę o zaprotokółowanie; mogę postawić jako świadków co najmniej ze czterdziestu ludzi, t. zn. całą publiczność premjerową). Mógłbym się skarżyć, że aktorzy i aktorki co chwila krzyczą na siebie „idjota" i że to jest prowokacja. Mógłbym wreszcie prosić sąd o udanie się na miejsce przestępstwa i o wysłuchanie całej sztuki, ale nie uczynię tego, gdyż mam nad sądem litość, o którą również proszę was, panowie.

Mówiąc o okolicznościach łagodzących wspomnieć muszę również o wykonaniu sztuki. O rolę pani Miller (aktorki, z którą posłowi nie wypada się żenić) ubiegały się podobno pp. Augustowa Popławska, Maurycowa Potocka, Leonowa Grohmanowa, Tadeuszowa Jackowska, Władysławowa Kościelska i parę jeszcze parę dam z t. zw. najwyższego towarzystwa, które przed zamążpójściem były właśnie aktorkami. Rolę oddano jednak p. *Pancewiczowej,* która odrzuciła paru generałów, aby wyjść zamąż za aktora. Pan *Zelwerowicz,* kokietujący poza teatrem swoim modernizmem i nowatorstwem, wygłupiał się niesmacznie w roli dziennikarza Śmieciuszki. Pani *Majdrowicz* była niezwykle naturalna, grała bowiem rolę słabej aktorki.

Zważywszy również, że sztuka ma cztery akty, że występuje w niej strażak i że na scenie były dzieci — proszę o uniewinnienie. *as.*

Dr. Bogumił Wydra
PRAKTYCZNA NAUKA JĘZYKA CZESKIEGO
GRAMATYKA-ROZMOWY-SŁOWNICZEK-WZORY
Warszawa
Nakład J. Buriana, 1927
Cena zł. 3.50

KRONIKA TYGODNIOWA

Czego nie było.—Literatura maruderem.— Sos bez potrawy. — Psy i mróz. — Nakłady książek. — Czyżby naprawdę ludzie w Polsce byli nieczuli? — Nawoływanie do kanonady. — Kpiny z prasy. — Kalendarz geograficzny. — Szapiro delfinem. — Wogóle parę drobnych kawałów. — Takie sobie zakończenie.

Zdawaćby się mogło, iż żyjemy w epoce niezwykłej. Przed trzydziestu laty nie było jeszcze samochodów, aeroplanów. kinematografu, radja. Nauka i technika w potężnym porywie zdobyła w lat kilkadziesiąt więcej niż przez całe wieki. Pozwolono nam śledzić rosnący pęd siły genjuszu ludzkiego. Pokazano nam krwawa zbrodnię wojny, upojono nas rewolucją i wolnością, aby okazać w końcu kłamstwa rewolucji i bezsilność naszej wolności. Wielcy uczeni w fizyce, chemji, medycynie, biologji i matematyce odkrywają nowe horyzonty i stwarzają nowe zagadnienia.

Literatura i poezja, która iść powinna na czele, zaskoczona zmienionym obrazem świata wychodzi jeszcze wciąż poza swe stare poszarzałe formy. Wraz z nowemi zdobyczami duch ludzkiego rośnie też mrok apatji i znudzenia. wlecze się on długim cieniem, a literatura jak maruder leniwie ukrywa się w tym cieniu. Dzieje się to zwłaszcza u nas. Proza przeżywa okres dekadencji. przekwitu formy. Jak wtedy, gdy poezja lubowała się w kunsztownościach wersyfikacji, w różnych akrostychach lub rondach i tem złudnem bogactwem przykrywała swe ubóstwo — dziś młoda polska proza lubuje się w różnych „fajnościach" formalnych, delektuje się sosem do nieistniejącej potrawy. Zdawaćby się mogło, iż nigdy silniej niż dziś nie zarysowały sie nowe wspaniałe obowiązki i drogi nie były wyraźniejsze. Czas nagli, życie pragnie skonkretyzowania, nazwania i wyśpiewania uczuć już dojrzewjących, a wśród ludzi pióra króluje „biała cisza" (jakby powiedział Jack London): 85-stopniowy mróz obojętności i psy, które się gryzą.

Obojętność czytelnika dla literatury najnowszej jest ciężką winą właśnie tej literatury. Dzieje się tak zawsze, iż wraz z rozkwitem poezji przychodzi pełne jej zrozumienie. Wielcy pisarze współcześni oddaliby przysługę dawnym poetom. Choć jeśli chodzi o nasze stosunki trudno nie być pesymistą. Istniało u nas uwielbienie dla poezji i literatury wtedy, gdy sztuka była jedynem ujściem uczuć patrjotycznych. Od czasu niepodległości państwa obojętność ta rośnie z rokiem każdym. Dziś na nieco większe zainteresowanie liczyć może tylko poezja komunistyczna, — konieczne jest więc zabarwienie społeczne lub narodowe, aby trafić do nieco szerszej warstwy ludzi. Nie byłoby w tem nic złego. Literatura musi mieć żywy związek z życiem, i dawno pogrzebaliśmy smrodliwe estetyzowania. Niestety, zarówno proza jak i poezja współczesna boi się śmiertelnie wszelkiej aktualności, i — co jest jeszcze gorsze — najjaskrawsza aktualność nie przerwałaby tego kręgu obojętności. Nakłady poważnych książek jak na trzydziestomiljonowy naród są poprostu rozpaczliwe. Właściwie pisze się dla paruset osób, które się zna osobiście, i dla paruset innych, które pozna się przy najbliższej okazji. Jeżeli tom poezyj idzie w tysiącu egzemplarzy nazywa się to już sukcesem. „Samuel Zborowski", mimo niezgorszej reklamy sprowadzenia prochów Słowackiego, szedł 13 razy przy słabo zapełnionej widowni. Nawet najpiękniejsze, mocno z życiem związane, tętniące siłą dzieła, jak „Przedwiośnie", nie mogą się przedrzeć przez ten ciasny mur zobojętnienia.

Ta wrogość do poezji powinna budzić chęć walki, zapał przebicia się, dosięgnięcia do największej ilości czytelników. Nie można przecież wierzyć w to, że ludzie w Polsce są nieczuli. Trzeba wielkiego wysiłku, ale czyż jest u nas choćby próba takiego wysiłku? Dosyć już, panowie, tomików poezji, westchnień i lirycznych spowiedzi. Czas najwyższy rozpocząć ogień. wzmożoną kanonadę słów żywych i trafiających.

Nie można namówić nikogo do pisania genjalnych utworów, ale można i należy kierować usiłowania pisarzy ku rzeczom istotnym. To chyba jest właśnie zdaniem krytyki, ale właśnie krytyka bardziej jeszcze od twórczości przyczynia się do powiększenia tej pustyni lodowej, jaka dzieli sztukę od jej konsumentów.

Cóż więc zostaje?—Prasa? Prawdziwe kpiny. Prasa nasza nie może nikogo zachęcić, ale musi obrzydzić nietylko sztukę, lecz i wszelkie objawy życia. Po przeczytaniu jednego numeru „Kurjera Warszawskiego" możnaby się powiesić, i całe w tem szczęście, że nikt tego pisma poważnie nie czyta. Prasa nasza — to szereg małych państewek, które są w ciągłej i jałowej wojnie o koryta i synekury. Państewka te należałoby sklasyfikować i opisać dla jakiej takiej orjentacji ludzi, którzy uparli się, aby czytać dzienniki. A więc:

Kurjer Poranny. Księstwo dziedziczne pod protektoratem Anglji. Godło: chorągiewka na dachu z białym lub czerwonym fryzem. Stolica kraju: Erenberg.

Kurjer Warszawski. Królestwo dziedziczne. Ludność składa się napływowego elementu aryjskiego i autochtonów — Żydów. Godło: trupia czaszka na białem polu. Armji niema. Silny korpus policji obyczajowej. Flota handlowa pod dowództwem komandora Lewentala. Ludność zajmuje się składaniem i drukowaniem nekrologów.

Express i *Kurjer Czerwony.* Nizina o charakterze błotnistym. Miejscowości zagórskie o wielkich pokładach guana. Forma rządu — obojętna. Flota aby była. Liczne bandy dywersyjne. Ludność zajmuje się koprofagią i rybołóstwem w mętnej wodzie.

Głos Prawdy. Małe księstwo bojaźni bożej pod protektoratem Belwederu. Ludność składa się wyłącznie z karabinjerów, sierżantów, sokołów, Sokołowów, efreiterów i Breiterów. Floty nigdy niema. Godło: czarny licznik na złotem polu. W razie wojny: nakład podwójny.

Gazeta Warszawska Poranna. Stany zjednoczone. Główny stan: stan zacietrzewienia. Ludność pzeważnie żydowska. Armja: znienawidzona. Godło. rudy kozioł na polu bardzo już wyjałowionem. Forma rządu: wroga.

Robotnik. Płaskowzgórze piaszczyste, położone między księstwem *Głosu Prawdy* i *Kurjera Porannego.* Na czele rządu delfin, książę krwi Szapiro. Ludność zajmuje się pochodami. Godło: młot, kielnia i Hebbel w ręku Irzykowskiego.

Epoka. Bezkrólewie. Wojna o sukcesję austrjacką.

Oto ważniejsze mocarstwa prasy. Przestępują one wzajem własne granicę i granice cierpliwości czytelników. Nie warto tych krajów zwiedzać i nie warto się w nich zatrzymywać. można się co najwyżej po nich przejechać i to w czasie wakacyj, gdy brak lepszego tematu do feljetonu. Gdyby się nam w przyszłym tygodniu bardzo nudziło — pomówimy również o t. zw. tygodnikach. O miesięcznikach — w przyszłym miesiącu.

Antoni Słonimski.

NOTATKI

Literatura węgierska. W zeszycie 1—4 za r. 1926 „Revue des Etudes Hongroises et Finno-Ougriennes" ukazał się szkic profesora uniwersytetu w Budapeszcie, László Négyesy, „Sto lat literatury węgierskiej".

Rehabilitacja Nietschego. Piotr Descaves w artykule ogłoszonym w „L'Observateur Européen" przeciwstawia się tendencyjnemu wykrzywianiu Nietschego: „Czy nie próbowano dowodzić u nas, że barbarzyństwo Niemców-Hunnów i Moloch militarny miały Nietschego za proroka? Nadczłowiek stał się synonimem Nadniemca. Smutne, że właśnie przeciwko Nietchemu skierowała się nienawistna i bezsensowna agitacja, przeciwko Nietschemu, „dobremu Europejczykowi". Nastał czas, aby sprawiedliwiej ustosunkować się do wielkiego myśliciela".

Pisma Jesienina. Niedawno nakładem Wydawnictwa Państwowego w Moskwie ukazał się t. IV zbiorowego wydania pism Jesienina. Weszły tu wiersze nieopublikowane z różnych powodów w tomach poprzednich, wiersze zapomniane, wydobyte ze starych dzienników i czasopism, wiersze dostarczone przez różne osoby, głównie z albumów, wreszcie pośmiertne. Wydawca nie miał jednak dostępu do puścizny rękopiśmiennej poety znajdującej się u jego siostry. Prozę reprezentuje młodzieńcza opowieść „Jar" oraz nowela „Bobyl i Drużok". Na podkreślenie zasługuje wreszcie dokładna bibljografja utworów Jesienina i literatury o nim: spis wierszy poświęconych Jesieninowi po jego samobójstwie liczy 142 pozycje.

Nowa powieść Meyrinka. W nakładzie Grethleina w Lipsku pojawiła się nowa powieść Meyrinka p. t. „Der Engel von Westlichem Fenster". Rzecz dzieje się częściowo w Anglji za czasów królowej Elżbiety, częściowo w Pradze za panowania cesarza Rudolfa. Bohaterem jest Sir John Dee, polityk, uczony, alchemik szukający kamienia mądrości, faworyt najprzód Elżbiety, potem Rudolfa, którego wtajemnicza w świat duchów. Żyjący w naszych czasach potomek Johna Dee odziedzicza zapiski dziada i wraz z niemi jego dziwny los.

Amalthea-Almanach. Wiedeńskie wydawnictwo „Amalthea", któremu zawdzięczamy obszerną antologję współczesnej poezji polskiej w przekładzie niemieckim Lorenca Scherlaga, wydało obecnie piękny album za lata 1917 — 1927. Składa się nań 28 artykułów i 34 ryciny.

„Emden". Film niemiecki, osnuty na romantycznych przygodach krążownika „Emden" w czasie wielkiej wojny, odznacza się podobno wybitnemi zaletami artystycznemi, nie mówiąc o doskonałem opracowaniu technicznem.

Wspomnienia o Szalapinie. Nakładem leningradzkiej „Academii" pojawiły się wspomnienia zmarłego dyrektora rosyjskich teatrów cesarskich, Tielakowskiego, o Szaliapinie. Tielakowskij „odkrył" Szaliapina i był zawsze jego gorącym protektorem.

PLASTYKA

Wystawa „Zdobnictwa Polskiego". — Wystawa w Polskim Klubie Artystycznym — Pierwszy doroczny salon Stowarzyszenia Architektów Polskich.

Część wystawy batalistycznej, ta, która obejmuje twórczość malarzy współczesnych, powinnaby wyjechać z „Zachęty"—

BOLESŁAW CYBIS: Stełcia

np. na kongres pacyfistyczny do Hagi. Byłaby doskonałą reklamą dla antymilitaryzmu, niezbitym dowodem, że militaryzm

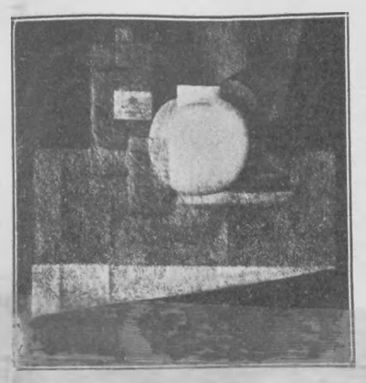

KONSTANTY MACKIEWICZ: Martwa natura

prowadzi do upadku ludzkość — a oczywiście i sztukę. Wielbiciele wojennego bohaterstwa mogą załamywać ręce: wielka

HALINA POLÓWNA: Portret prof. Noakowskiego

wojna nie wydała żadnych wielkich dzieł sztuki w zakresie malarstwa. Skorzystała na niej najwyżej satyra malarska, która

STANISŁAW ZALEWSKI: Pejzaż

wydobyła na jaw i podkreśliła całą krwawą, okrutną groteskę wojenną (np. Grosz), ale która oczywiście nie miała zrozumienia dla gloryfikacji czynów wojennych.

Tym razem sposób urządzenia wystawy przez „Zachętę" miał — niechcący — jakąś myśl przewodnią. Może niekoniecznie zgodną z intencją organizatorów, ale zato dobitną. Wykazał mianowicie zupełną pustkę i upadek malarstwa batalistycznego w sztuce nowoczesnej. Inna rzecz, że lojalnie i rozsądnie urządzona wystawa tego typu powinna była zgromadzić także takie obrazy współczesnych malarzy, które świadczyłyby o istniejących tendencjach ożywienia i zmodernizowania obrazu batalistycznego (np. Andrzej Pronaszko). Ale ponieważ pachniałoby to „modernizmem" i mogłoby popsuć renomę „Zachęty" u niedzielnej klijenteli, więc nie uczyniono tego. Pokazano degrengoladę i niemoralne wprost lekceważenie już nietylko artyzmu, ale wszelkiej uczciwości technicznej, pokryte najtańszym ulicznym sentymentem. Tyle, jeśli chodzi o współczesny obraz batalistyczny.

ROMUALD ZERYCH: Madonna

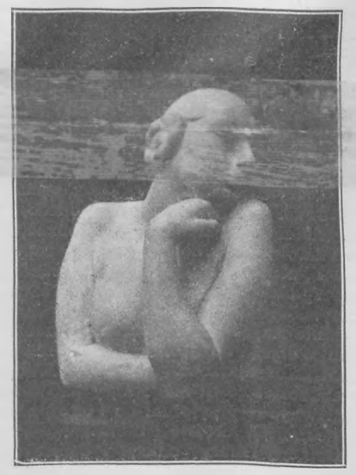

EWA SCHWARTZ: Portret

W ten towarzystwie przebywa *Juljusz Kossak,* zawsze wspaniały i niezrównany, *Brandt, Gierymski i Grottger.* (A propos Kossaka: tradycje rodzinne bywają zabójcze, jeśli chodzi o sztukę. Po Juljuszu Kossaku Wojciech — oto upadek zaiste na łeb na szyję!). W każdym razie, dla sprawiedliwości, należy się „Zachęcie" podzięka za pokazanie choć paru doskonałych obrazów — pomimo że nie jest to bynajmniej wystarczająca reprezentacja polskiego malarstwa batalistycznego.

terze bardzo północnym, subtelnemi w linji, ciekawemi w kolorycie i jako eksperyment techniczny — malowane są bowiem na złotym i srebrnym podkładzie. *Mackiewicz* ma ciekawą fakturę i układ form, a jego poszukiwania w zakresie zestawień barwnych świadczą o dobrem poczuciu kolorystycznem. Z obrazów *Polówny* najlepszy jest portret Noakowskiego. Wreszcie trzeba wymienić bardzo ładny w kolorze pejzaż *Zalewskiego.* Z rzeźb, prócz *Zerycha,* który wystawił m. in. płaskorzeźbę „Madonna", wybija się przedewszystkiem Ewa *Szwarc,* wykazująca dobre poczucie bryły.

Utworzone w zeszłym roku Stowarzyszenie Architektów okazuje się ruchliwe i pełne inicjatywy. Stowarzyszenie gromadzi, prócz kilku znanych w dziedzinie architektury leaderów, przedewszystkiem siły młode i ma na celu nietylko obronę interesów zawodowych, ale także utrzymanie kontaktu z publicznością. Rzecz godna pochwały, dotąd bowiem architektura nasza otoczona była zawodową tajemnicą, dostęp do jej twórczości był dla przeciętnego ogółu dość trudny.

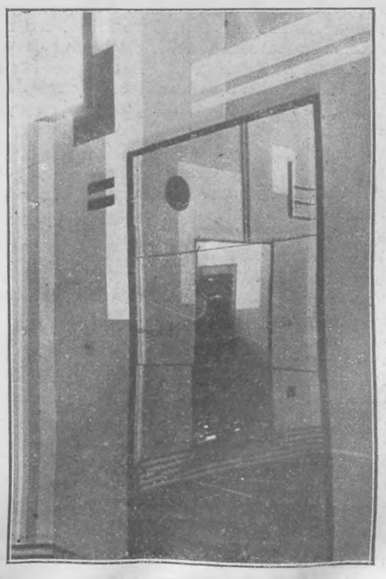

STANISŁAW BRUKALSKI: Wnętrze

Dn. 21 czerwca b. r. odbyło się otwarcie pierwszego salonu dorocznego, w którym wzięła udział pokaźna ilość architektów. Przeważa na wystawie t. zw. „modernizm", „tak zwany" — albowiem nie wszystkie z pośród modernistycznie zabarwionych projektów można uważać za istotne wykładniki prądów w nowoczesnej architekturze. Może nawet przeważająca ich ilość nie dałaby się zaliczyc do „konstruktywizmu", rozumianego nie jako pewien specyficzny kierunek, lecz jako dążenie do oparcia poszukiwań formy na konstrukcji i materjale. W gruncie rzeczy ów rzekomy „konstruktywizm" jest przeważnie tylko nową formą dekoracji, która jako taka może być ciekawa i udała, ale której stosunek do zagadnień konstrukcji jest równie luźny i dowolny, jak każdego innego rodzaju dekoracyjnego nastawienia się. Do pewnego stopnia charakterystyka ta dotyczy nietylko prób młodej architektury polskiej, ale i nowoczesnej architektury europejskiej wogóle, a już bodaj bez zastrzeżeń można ją zastosować do poszukiwań w dziedzinie architektury wnętrz. Nie rozstrzygam tu oczywiście kwestji zasadniczej, czy sama

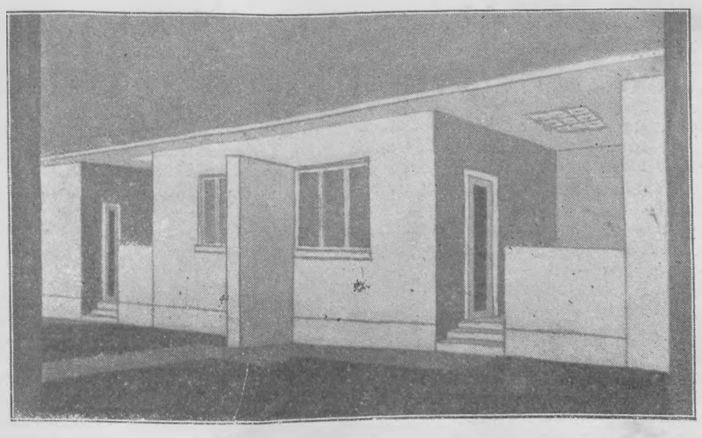

JERZY GELBARD: Domy robotnicze

Wystawa „Zdobnictwa Polskiego", szczupła i ogółem biorąc niebardzo ciekawa. Najlepiej przedstawiają się kilimy, w których najwięcej jest poczucia materjału i techniki i gdzie nawet nawiązanie do tradycji nie kończy się fiaskiem. Gorzej przedstawiają się batiki i hafty, które z małemi wyjątkami obracają się w ciasnym kręgu wciąż powtarzających się motywów, niegdyś pełnych „wdzięku i świeżości", dziś już nudnych i bezcelowych.

Polski Klub Artystyczny staje się pewnego rodzaju trampoliną dla przyszłych wielkości. Debjuty na ostatniej wystawie przedstawiają się ogółem wcale szczęśliwie. *Cybis* wystąpił z obrazami o charakzasada oparcia poszukiwań formalnych wyłączenie tylko na konstrukcji, materjale i celu użytkowym jest wystaczająca i czy nie odgrywa ona raczej roli współczynnika, względnie koniecznego warunku, z którym się liczyć trzeba, ale który nie jest w stanie określić bez reszty rodzaju formy.

Mimo wszystko, wystawa przedstawia się ogółem świeżo i interesująco. Wybijają się na pierwszy plan: grupa „Praesens" (szczególnie *Szanajca, Lachert, Syrkus, Stażewski),* następnie architekci: *Norwerth, Pniewski, Stefanowicz, Niemojewski, Gelbard* i inni.

Stefanja Zahorska.

ZAPRZEPASZCZANIE PRACY NAUKOWEJ

Do Pana Stanisława Michalskiego, kierownika IV departamentu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Dn. 6 sierpnia 1923 r. zwrócił się do mnie p. Artur Górski, proponując, bym podjął się opracowania nieogłoszonego dotychczas drukiem rękopisu Adama Mickiewicza wykładów lozańskich dla wydania sejmowego. Opracowania podjąłem się, i dn. 12 października 1925 r. p. Górski otrzymał ode mnie rękopis opracowania w trzech tomach: 1) „Wstęp", 2) „Tekst", 3) „Dokumenty". Opracowania dokonałem na podstawie ściśle naukowej, t. j. źródłowej, i w tym celu odbyłem dwie podróże: do Lozanny i Paryża. Wielka ilość dokumentów dotychczas nieznanych znajduje się w mojem posiadaniu,jako zdobyta już po odesłaniu rękopisu opracowania p. Górskiemu. Plan mego opracowania ogłosiłem w „Ruchu Literackim" prof. Gubrynowicza (zeszyt 11) i uzasadniałem go w odczytach publicznych, wygłoszonych na posiedzeniach Polskiego Towarzystwa Filologicznego we Lwowie (por. „Sprawozdanie Polskiego Towarzystwa Filologicznego", 1925 i 1926), Towarzystwa Naukowego we Lwowie, na odczycie publicznym w Warszawie (w marcu 1926 r., por. prasę warszawską), oraz w artykule francuskim w „Eos", 1927); nadto oddałem do druku pięć nieznanych listów Mickiewicza, których autografy nabyłem w Genewie, i złożyłem do przechowania w bibljotece uniwersytetu lwowskiego, jak i pamiętniki Nakwaskiego, przywiezione przeze mnie do kraju. Wdrożyłem też starania w Akademji Umiejętności celem pozyskania także korespondencji Nakwaskiego, wśród której mogły znajdować się autografy wielu współczesnych wybitnych postaci.

Gdy wskutek przesilenia finansowego wydanie sejmowe pism Mickiewicza uległo zwłoce bezterminowej, zwracałem się kilkakrotnie pisemnie do p. Górskiego z prośbą o zwrot rękopisu i o pozostawienie mi prawa publikacji w jednej z instytucyj naukowo-wydawniczych, które przyrzekły mi pomoc w ogłoszeniu mej pracy (Akademja Umiejętności i Kasa im. Mianowskiego). Wskutek zatargu z p. Górskim na temat praw autorskich i charakteru opracowania prosiłem dwukrotnie pismem poleconem Ministerstwo (1. w sierpniu 1926 r. z Florencji, 2. w maju 1927 r. ze Lwowa) o załatwienie sprawy mego rękopisu przez uznanie kwot wypłaconych mi przez p. Górskiego za zasiłki rządowe na wykonanie pracy naukowej i o wpłynięcie na p. Górskiego, by zwrócił mi rękopis do swobodnego zużytkowania, jako że tekst nie podlega obecnie ochronie przez prawa autorskie. Na oba pisma nie otrzymałem od Ministerstwa odpowiedzi. Z tego powodu czuję się zniewolony zapytać publicznie Pana Kierownika IV departamentu, czy fakt że otrzymałem od Rządu około dwóch tysięcy złotych na wykonanie pracy naukowej o charakterze użyteczności publicznej skazuje ją na zmarnowanie w rękach mało zapobiegliwych, nie zostawiając mi najmniejszych widoków na opracowanie nowych dokumentów, ani na ogłoszenie wyników studjów trzechletnich, mimo że są ku temu sposobności i że zwłoka w ogłoszeniu oddziaływa ujemnie na wartość naukową opracowania, a także i na ogólne warunki mojej pracy naukowej.

Zapytuję dalej Pana Kierownika IV departamentu:

czy p. Górski jest w dalszym ciągu jedynym (dwaj dawniejsi współredaktorowie nie podtrzymują swej osobistej odpowiedzialności za losy wydania sejmowego) redaktorem wydania sejmowego z ramienia Ministerstwa W. R. i O. P., czy wogóle z ramienia Rządu,

czy mało urzędowe postępowanie jedynego redaktora znajduje aprobatę Pana Kierownika,

czy p. Górski jest w prawie żądać ode mnie zwrotu zasiłków rządowych, przeznaczonych na pracę istotnie wykonaną,

czy osobiste i dostatecznie znane poglądy mistyczne p. redaktora rządowego nie pozwolą ujrzeć światła dziennego pracy poważnej profesora uniwersytetu,

czy przyjąwszy propozycję do pracy pod nadzorem Rządu nie znajdę nigdy możności odwołania się do tej Władzy?

Muszę zaznaczyć: 1) że mimo wielokrotnych żądań nie otrzymałem nigdy od p. Górskiego kontraktu do podpisania, 2) że pomysł wydania sejmowego, jak je sobie przedstawia p. Górski, był przedmiotem bardzo rozumnej krytyki zagranicą (por. „Wiadomości Literackie" 1926, po wywiadzie z p. Górskim), 3) że charakter „wykładów lozańskich," jako skryptu uniwersyteckiego w stanie czysto notatkowym i fragmentarycznym, dopuszczał jedynie sposób opracowania źródłowy, t. j. jedynie taki jaki zastosowałem, widząc, że inaczej tekst nie będzie zrozumiały nawet dla filologów zawodowych.

W końcu upraszam uczonych polskich o zajęcie stanowiska wobec jaskrawego faktu marnowania pracy naukowej (por. Fr. Bujak: „Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania nauki", Warszawa 1927) przez dobór niesprawnej jednostki na stanowisko naczelne i niekontrolowane w wydawnictwie patronowanem przez Rząd.

Dr. *Jerzy Kowalski*,
profesor nadzwyczajny filologji klasycznej w Uniwersytecie Jana Kazimierza.

We Lwowie, w czerwcu 1927 r.

JEAN-AUBRY W POLSCE

— Ach, ten Aubry! To jest zupełnie nadzwyczajny człowiek!

Tak mniej więcej wykrzykiwał każdy, kto miał sposobność poznania wybitnego poety, literata i krytyka francuskiego, który spędził u nas kilka czerwcowych tygodni.

Nadzwyczajny! Dlaczego? Dlatego, że się nie bawi w żadne frazesy, a Polska naprawdę go interesuje. Nie jako fenomen polityczny, nie jako echo francuskiej kultury, nie jako rynek zbytu wzruszeń dla tej kultury. Interesuje go poprostu jako całokształt zjawisk kulturalnych, jako pewne odrębne zbiorowisko ludzi o charakterystycznych cechach ujemnych i dodatnich.

G. JEAN - AUBRY z Jarosławem Iwaszkiewiczem

Interesuje go wreszcie jako kolebka ukochanego pisarza, Josepha Conrada. Jest to jednak zjawisko wtórne — gdyż nawet z Josephem Conradem-Korzeniowskim Aubry zetknął się na tle sympatji do Polski i do zagadnienia polskiego, które śmiało w r. 1915 w prasie francuskiej poruszył.

Sympatyj swych Aubry nie ubiera w stereotypową banalność. Nie przyjechał ze zdawkowym komplementem i pogardą w duchu, jak Farrère, nie przyjechał pouczać, jak Duhamel. Przybył jak dobry znajomy do dobrych znajomych, aby pogawędzić sobie o tem i o owem, „siebie pokazać, na innych popatrzeć". Ale nietylko przyjaciele, których wiele Aubry w Polsce pozostawił, wspominają sobie mile pogawędki z biografem Conrada: szersza publiczność miała też sposobność wysłuchania jego świetnych odczytów czy właśnie pogadanek, w których z przekonaniem bronił praw Polski do Conrada i praw Conrada do miłości Polski. Niestety, nieodpowiedni sezon zmniejszył ilość słuchaczy Aubry'ego do małej garstki, ale ci co przybyli nie mogli się uspokoić.

Rzeczywiście Francuz, który wymawia poprawnie nazwiska i nazwy polskie, i to tak trudne jak Przeździecki, Chodźko, Nowo-Fastów, nietylko wymawia zupełnie dobrze, ale nawet akcentuje na przedostatniej zgłosce, — jest naprawdę fenomenalny!

Mnie najbardziej rozczulił rozróżnianiem Wołynia od Podola. To się nie każdemu „Koroniarzowi" udaje, a cóż dopiero cudzoziemcowi! Ale Aubry już jest taki dziwny, że przyjechał do Polski, znając jej geografję, historję i literaturę.

Dopiero Aubry odkrył i odnalazł w Polsce ślady krótkiej wędrówki Conrada przez ojczyznę. Tak np. (przy pomocy pp. Janusza Iwaszkiewicza i Stefana Pomarańskiego) wykrył dom, w którym mieszkał Apollo Korzeniowski z synem w Warszawie.

Aubry obiecał nam artykuł do „Pologne Littéraire", a wkrótce jego książka o Conradzie ukaże się w przekładzie polskim. Będzie ona dla nas ważnem wydarzeniem, tem bardziej, że jednocześnie z polskiem ukażą się wydania francuskie i angielskie. Dowiodą one cudzoziemcom, że cała kultura pisarska Conrada wywodzi się z Polski.

Jarosław Iwaszkiewicz.

*

Dn. 22 czerwca b. r. redaktor „Wiadomości Literackich" wydał dla p. Aubry śniadanie w Hotelu Europejskim, w którem wzięły udział panie Irena Gabaud, Marja Jehanne Wielopolska, Aniela Zagórska oraz panowie Stanisław Baliński, Juljusz Kaden-Bandrowski, pułk. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Antoni Słonimski, Boy - Żeleński.

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

— „Literární Rozhledy" podają statystykę książki czeskiej. Otóż od r. 1500—1800, t. j. w ciągu 300 lat, wyszło ogółem około 6 tysięcy książek czeskich. Obecnie wychodzi w ciągu roku 10 — 12 tysięcy książek czeskich i słowackich.

— Na Słowaczyźnie jest 2.314 bibljotek publicznych, liczących 170.365 tomów. Biorąc pod uwagę, że rozwój bibljotek słowackich rozpoczął się właściwie po 1918 r., — musimy przyznać, że jest to cyfra imponująca.

— Nakładem „Aventinum" wychodzi zbiorowe wydanie dzieł J. S. Machara w 4o tomach.

— „Aventinum" zapowiada wspomnienia i dokumenty z czasów wojny poety i powieściopisarza J. S. Machara „Pięć lat w kazarmach".

PAWEŁ KOCHAŃSKI

Połączenie gorącego temperamentu z wielką subtelnością duszy, skłonność do pokonywania najbardziej karkołomnych przeszkód obok głębokiego zrozumienia wartości artystycznych, szalony rozpęd przy zadziwiającym spokoju rozważnego twórcy — oto od ręki nakreślona sylweta Pawła Kochańskiego. Z człowieka wszystko w jego naturze przechodzi w artystę, — temperament, pęd do życia, sportowe łamanie się z trudnościami i poważna, nieraz melancholijna, a bardzo pańska uczuciowość poety. Każda z tych kapitalnych właściwości w duszy artysty potężnieje i wyciska silne piętno na twórczości wirtuoza i muzyka.

Skrzypce w ręku Pawła Kochańskiego są nieodłącznym od jego indywidualności instrumentem, przez który całe bogactwo talentu jak gdyby z konieczności przedostaje się na zewnątrz i zniewala do podziwu.

Od dwu lat Kochański nie grał w kraju, i skąpe tylko o jego triumfach dochodziły nas wiadomości. Tymczasem na szerokim świecie artysta jeszcze bardziej

PAWEŁ KOCHAŃSKI

dojrzał, pogłębił się i wyolbrzymiał. — Ostatni sezon koncertowy w Stanach Zjednoczonych okrył go niezwykłą sławą i uznaniem ze strony najsurowszych krytyków i znawców muzyki. Najpoważniejsze głosy prasy nowoyorskiej nazwały go „mistrzem pięknych tonów o przebogatej inteligencji i arystokratycznej dystynkcji, ze współczesnych osiągalnej jedynie przez Kreislera".

Niepodobna choćby w krótkości streszczać wszystkich pochwał, ale trzeba się cieszyć z uznania, bez zastrzeżeń oddawanego naszemu rodakowi. Cała krytyka, również bez wyjątku, okazuje zachwyt z powodu transkrypcyj skrzypcowych Kochańskiego, których ilość ostatnio bardzo się powiększyła. Jego przeróbki ze starych hiszpańskich melodyj, z kompozycyj Falla, — obok znanych dawniej, jak grana u nas transkrypcja nokturna Chopina, cieszą się wszędzie wielkiem powodzeniem i wchodzą do repertuaru inych wielkich wirtuozów. Szymanowski i Strawinskij z całą otwartością przyznają, że w transkrypcjach skrzypcowych ich utworów za każdym razem korzystali z niezwykle trafnych uwag i rad Kochańskiego.

Dzisiaj już stoi Kochański na wysokich szczytach pięknej budowy, której monumentalność muzyczna idzie o lepsze z dekoracyjnością wirtuozerji. Praca twórcza nad architekturą tego gmachu nie ustaje, i artysta idzie naprzód — w górę.

ror.

IRZYKOWSKI O KANDYDATACH DO NAGRODY NOBLA

W „Literarisze Bletter" Karol Irzykowski drukuje następującą odpowiedź na ankietę „Kto powinien dostać nagrodę Nobla":

„Nagrodę Nobla powinien dostać Karol Irzykowski za studjum o perfidji (napisane przed laty piętnastu), ponieważ jest to *wynalazek duchowy* o wartości *dynamitu*. Jest to dopiero początek tego, coby Irzykowski mógł w tym kierunku zdziałać, gdyby miał pieniądze (na każde laboratorjum trzeba pieniędzy). Mam prawie gotową książkę p. t. „Studja i mosty". Rozumiecie: *mosty!* To już też wynalazek techniczny à la Nobel, tylko w przeciwnym kierunku. (W b. r. w „Dzienniku Warszawskim" zacząłem drukować studja nad pacyfizmem).

Drugą nagrodę mógłby dostać Słonimski za „Wieżę Babel", Nałkowska, Broniewski i Wittlin za swoje wiersze.

Wykluczam natomiast Zegadłowicza z jego beskidzką miłością bliźniego (ogólnik frazeologiczny).

W Niemczech jest wielki kandydat na nagrodę Nobla (ale nie dostanie!): Kurt Hiller. Znam wszystkie jego pisma, jest to Nietzsche nowoczesny. Osobiście go nie znam, ani w żadnym kontakcie z nim nie stoję. Przypuszczam, że miałby wielką satysfakcję z poznania mojego studjum o perfidji.

We Francji Barbusse.

Nagradzanie poetów w rodzaju Sienkiewicza (batalisty) urąga idei związanej z nagrodą Nobla jako nagrodą pacyfistyczną.

POLSKA ZAGRANICĄ

— W madryckiej „La Epoca" z dn. 28 czerwca b. r. ukazał się artykuł Luisa Arauje-Costa „El romanticismo en las literaturas de Europa. Polonia", poświęcony romantykom polskim z Mickiewiczem na czele.

— „Prager Presse" z dn. 11 czerwca b. r. na podstawie wywiadu, ogłoszonego w nr. 179 „Wiadomości Literackich", daje notatkę o zamerzonej przez prof. Dobrzyckiego nowej historji literatury polskiej.

— Nr. 19 — 20 „Rozprav Avantina" przynosi w serji „Goście w Pradze" wywiady Władysława Mergela z K. H. Rostworowskim i Brunonem Winawerem, opatrzone podbizną Winawera.

— Prager Presse" w numerze z dn. 5 czerwca b. r. ogłasza obszerną entuzjastyczną ocenę ostatniej książki Zegadłowicza „Godzina przed jutrznią. Żywot Mikołaja Srebrempisanego" pióra Mgra.

— Otto Forst de Battaglia ogłosił w czerwcowym zeszycie miesięcznika „Hochland" obszerniejszy artykuł p. t. „Die polnische Literatur der Gegenwart", a w „Frankfurter Zeitung" z dn. 29 maja b. r. krótszy feljeton „Die neue polnische Literatur". Pierwszy daje w kilkanaście grup ujętą galerję współczesnych pisarzy polskich, drugi omawia dorobek za ub. r. Pisząc z entuzjazmem o literaturze, p. Battaglia rozprawia się bezwzględnie z *tendetą*, szczególnie pogardliwie traktując „matadorów teatrów" z ich „importem marnego gatunku" (Kawecki, Kiedrzyński, Konczyński i nieco lepszy Krzywoszewski).

— W „Ere Nouvelle" z dn. 16 czerwca b. r. znajdujemy notatkę o ankiecie „Pologne Littéraire", rozesłanej do jej zagranicznych odbiorców z prośbą o odpowiedź, co myślą o tem wydawnictwie. Podkreślając wybitny dorobek literacki Polski, znany, niestety, niedostatecznie na Zachodzie, dziennik paryski mówi o zadaniach „Pologne Littéreaire" jako o rzeczy trudnej („tâche ardue"), ale poprzyślanej szczęśliwie („d'une inspiration heureuse").

— „Ceskoslovenska Republika" z dn. 25 maja b. r. przynosi notatkę o plebiscycie „Wiadomości Literackch" na najlepszą współczesną książkę polską.

— W nr. 22 moskiewskiej „Żizni Iskusstwa" znajdujemy notatkę o balmontowskim numerze „Wiadomości Literackich".

— W majowym zeszycie sofijskiej „Obszczestwienoj Misli" znajdujemy artykulik „Balmont w Warszawie", zawierający opis bankietu na cześć rosyjskiego poety i przekład prozą wiersza Podhorskiego-Okołowa, drukowanego w balmontowskim numerze „Wiadomości".

— Mgr. odnotowuje w „Prager Presse" z dn. 10 czerwca b. r. artykuł Forst-Battaglii o polskiej historjografji, umieszczony w „Jahrbücher für Slavische Geschichte und Kultur".

— J. M. umieszcza w „Prager Presse" z dn 5 maja b. r. recenzję z książki Czekanowskiego „Wstęp do historji Słowian".

— Całą stronę tytułową medjolańskiego „Il Secolo Illustrato" z dn. 29 maja b. r. zajmuje zdjęcie przedstawiające Polę Negri i księcia Mdivani po uroczystości ślubnej w Serraincourt. — Fotografje ze ślubu Poli Negri znajdujemy również w „Müncher Illustrierte Presse" z dn. 31 maja b. r.

— Rzymska „L'Illustrazione" z dn. 22 maja b. r. przynosi całostronicową podobiznę Poli Negri.

— F. Blei omawia w „Die Literarische Welt" z dn. 3 czerwca b. r. książkę Pourtalèsa o Chopinie, z której recenzję zamieściliśmy w nr. 179 „Wiadomości".

— W „L'Opinion" z dn. 14 maja b. r. znajdujemy recenzję G. S. z książki Pourtalèsa o Chopinie, o której „Wiadomości" pisały w nr. 179.

— G. S. w „L'Opinion" z dn. 28 czerwca b. r. pisze z uznaniem o świeżo u Calmann—Lévy'ego wydanej książce hr. Wodzińskiego „Les trois romans de Frédéric Chopin".

— Na festival muzyki polskiej w Pradze, który odbył się w maju b. r., wydana została pod redakcją M. Glińskiego broszura p. t. „Muzyka polska", zawierająca następujące artykuły: „Czeskopolskie związki w muzyce" Nejedly'ego, „O muzyce polskiej" Paderewskiego, „Polski styl muzyczny" Opieńskiego, „Muzyka Chopina" Jachimeckiego, „Stanisław Moniuszko kiedyś i dziś" Niewiadomskiego, „Polska muzyka XX w." Jachimeckiego, „Współczesna muzyka polska" Glińskiego, „O muzyce tatrzańskich górali" Chybińskiego, „Polska wiedza muzyczna" Łobaczewskiej, „Z dziejów prasy muzycznej w Warszawie". Broszurę zdobią podobizny Chopina, Moniuszki, Karłowicza, Szymanowskiego, Różyckiego, Melcera, Niewiadomskiego, Opieńskiego i Szopskiego.

— Paul Stefan wspomina w artykule „Die Frankfurter Musikausstellung", umieszczonym w „Die Bühne" z dn. 23 czerwca b. r., o udziale Polski w wystawie.

— Katalog wystawy obrazów polskich w Stockholmie, zorganizowanej przez Tow. Szerzenia Sztuki Wśród Obcych, zawiera wstęp Mieczysława Tretera oraz reprodukcje obrazów Filipkiewicza, Jarockiego, Lama, Niesiołowskiego, Noakowskiego, Pautscha, Pruszkowskiego, Rubczaka, Samlickiego, Sichulskiego, Skoczylasa, Ślendzińskiego, Stryjeńskiej, Umińskiej, Wąsowicza i Weissa.

— W „Eve" z dn. 15 maja b. r. znajdujemy obficie ilustrowany artykuł V. Lame-Desprès p. t. „La femme polonaise".

ANEGDOTY

W czasie wojny marszałek Hindenburg pozował malarzowi węgierskiemu Kardosowi do portretu. Rozmowa toczyła się o literaturze, przyczem Hindenburg oświadczył, że za największego pisarza niemieckiego uważa Schillera.

— A Goethe?

Marszałek podrapał się w głowę i rzekł wymijająco:

— Goethe z temi jego wiecznemi miłostkami...

— No, ale — odpowiedział skromnie malarz — tym właśnie jego miłostkom zawdzięczamy sporo pięknych wierszy.

— To jedynie stanowi jego usprawiedliwienie — skończył krótko Hindenburg.

*

R. L. Stevenson mieszkał swego czasu w pensjonacie w St. Raphael. Niedawno wielbiciele pisarza rozpoczęli kroki w celu odnalezienia tego pensjonatu, gdyż chcieli wmurować tam tablicę pamiątkową. Nie znając dokładnie adresu, zwrócili się do właścicielki pensjonatu, który Stevenson przypuszczalnie mógł zamieszkiwać, z zapytaniem, czy nie przebywał tam przypadkowo przed szeregiem lat znakomity poeta Stevenson.

— Poeta u mnie? — brzmiała odpowiedź — u mnie płaci się zgóry.

*

Oskar Wilde spotyka na Pont Neuf w Paryżu biednie ubranego człowieka, który smutnym wzrokiem patrzy na wodę. Wilde podchodzi i kładzie mu rękę na ramieniu:

— Jest pan zmęczony życiem, przyjacielu.

Nieznajomy odwraca się ze zdziwieniem:

— Nie, jestem fryzjerem.

*

Kiedy w obecności Tristan Bernarda mówiono o niedostatecznem przygotowaniu Nungessera i Coliego do lotu transantlantyckiego, znakomity pisarz powiedział:

— Tak, tak, to stara historja o ludziach, którzy powtarzają ciągle: „Nie można puszczać się w podróż okrętem bez sucharów. Nie można puszczać się w podróż okrętem bez sucharów". Ci ludzie gromadzą coraz większe zapasy sucharów i nie ruszają się nigdzie.

*

Ktoś pyta o zdrowie Sternheima.

— Jak ma się miewać? Mówi ciągle o sobie i ze czcią wciąż uchyla kapelusza. Zaziębił się znowu.

*

Krytyk i filozof nazwiskiem Fritz Mauthner, którego fizjognomja wskazywała na żydowskie pochodzenie, jechał kiedyś z Monachjum do Rosenheim w towarzystwie trzech studentów. Mauthner czytał spokojnie książkę, nie zwracając uwagi na padające pod jego adresem docinki. Zniecierpliwieni studenci za wszelką cenę postanowili go sprowokować, zwracając się doń w takiej formie:

— Dzień dobry, ojcze Jakóbie.

— Dzień dobry, ojcze Abrahamie.

— Dzień dobry, ojcze Izaaku.

— Mylicie się. Nie jestem ani Jakóbem, ani Abrahamem, ani Izaakiem. Jestem Saulem, którego ojciec wysłał na poszukiwanie osłów. Nie przypuszczałem, że znajdę je tak prędko.

*

Znany pisarz mieszkał w pensjonacie. Pewnego dnia zjawia się w pokoju gospodyni ze skargą, że zginęła jej otomana. Pisarz przysięga, że nigdy żadnej otomany nie widział. Na żądanie gospodyni rozpoczyna się przeszukiwanie pokoju. W końcu, po odrzuceniu paki gazet, pomieszanej z ubraniem i bielizną, uszczęśliwiona gospodyni znajduje: po pierwsze — otomanę, po drugie — pianino, po trzecie — umywalnię...

*

Rzecz dzieje się na przyjęciu w salonie francuskiego akademika. Pewna podstarzała diva oświadczyła dość głośno, że kiedy poczuje się już nie tak piękna, aby móc triumfować na scenie i w sercach wielbicieli, będzie wiedziała co zrobić.

— I cóż takiego? — posypały się strwożone głosy.

— Wezmę rewolwer, przyłożę do skroni, i...

— Ognia! — zakomenderował w tym momencie obecny na wieczorze złośliwy satyryk.

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

Korespondencja

O DOBRE IMIĘ MARJI KONOPNICKIEJ

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

Proszę o pomieszczenie na łamach „Wiadomości Literackich" listu tego, który prostuje nawskroś fałszywe a wielce ubliżające szczegóły biograficzne z życia Marji Konopnickiej, Matki naszej, jakie pomieściła w książce swej p. t. „Konopnicka. Dzieje natchnień i myśli" pani Julja Dickstein-Wieleżyńska, nie mając bezwzględnie żadnych na to danych.

Oto co pisze p. J. D.-Wieleżyńska: „Konopnicka ani myślą, ani życiem powstania nie przeszła. Wyjechała zagranicę. Chwile walki i żałoby spędziła bezpiecznie w Niemczech. Z czasem dopiero nadleci do niej wicher powstaniowy... Narazie wyszła z życia rodzinnego i — w przeciwieństwie do Orzeszkowej — do niezmienionego wróciła". Trudno poprostu powstrzymać okrzyk oburzenia na tak kłamliwe oskarżenie!

Prawda: Marja Konopnicka, Matka nasza, jako 18-letnia dziewczyna wyszła zamąż w r. 1862 za Jarosława Konopnickiego, Ojca naszego, i weszła w dom odwiecznych tradycyj *żołnierza polskiego*, gdyż wszyscy synowie tego rodu zawsze byli żołnierzami i krwią służyli Ojczyźnie.

To też gdy wybuchło powstanie 63 r., stary wojak, Wawrzyniec Konopnicki, — Dziad nasz, — natychmiast stanął w szeregach walczących wraz z trzema starszymi synami: Jarosławem, Leonem i Honorjuszem. Najstarszy, Jarosław, Ojciec nasz, pod koniec powstania, szczególniej ścigany przez Moskali jako wróg ich zacięty, osaczony ze wszystkich stron cudem przedarł się zagranicę dzięki oddanym sobie włościanom i tak uniknął śmierci. Za Ojcem — w wielkiem niebezpieczeństwie, z dzieckiem maleńkiem, — przeszła granicę Matka.

Za to wydostanie się ze szponów wroga srogo zapłaciła cała rodzina. Rodzinny Bronów zniszczono straszliwie, wysoka kontrybucja poderwała już na zawsze byt materjalny rodu. Ojciec nasz mógł wrócić dopiero po amnestji, i to jako jeden z najbardziej opóźnionych. Zastał ruinę — jak wszyscy wtedy.

Można łatwo domyśleć się z tych prostych danych, co w owe dnie czuła, przeżywała Marja Konopnicka, o której p. J. D.-Wieleżyńska napisała wyżej przytoczone, ubliżające czci Matki naszej słowa. Proszę p. J. D.-Wieleżyńską o ogłoszenie publicznie: *skąd wzięła swe nieszczęsne informacje?* Jestem pewna, że ogół nie uwierzy nigdy, aby Marja Konopnicka w dniach walki, bólu i żałoby kraju (tak ukochanego przez Nią!) mogła bezpiecznie szukać schronienia zagranicą i nie brać udziału w życiu powstańczem, — jednak uważam za obowiązek swój i rodzeństwa mego sprostować ten fałsz biograficzny, aby niczem nie było zmącone wspomnienie Jej imienia.

Laura Konopnicka-Pytlińska.

M. B. Nie będziemy drukowali „Powrotu Słowackiego".

Notus Ignotus we Lwowie. Nie skorzystamy.

W. P. w Poznaniu. „Mistyki" nie wydrukujemy.

J. Ost. Z nadesłanego przemówienia nie będziemy mogli skorzystać.

Vir. Nie będziemy drukowali.

M. B. w Kutnie. Na wystąpienie to zareagujemy w imieniu redakcji.

E. C. w Lublinie. Jeszcze nie do druku.

Autorowi „W świecie oka". Nie skorzystamy.

W. W. w Ustkowie. Nie mamy możności zajęcia się tą sprawą. Radzimy zwrócić się do antykwarni Wildera (Traugutta 8).

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg. M. Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", „Rój", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

BIBLJOGRAFJA, BIBLJOFILSTWO

Biuletyn Bibljograficzny Wydawnictw Księgarni F. Hoesicka w Warszawie. Miesięcznik poświęcony krytyce i bibljografji wydawnictw własnych i komisowych. Dział A: Wydawnictwa prawniczo-ekonomiczne. Rok I. Nr. 1. Czerwiec 1927. Zeszyt specjalny zawierający katalog wydawnictw z dziedziny prawa, ekonomji i nauk społecznych. Warszawa, 1927; str. 48 i 16nl. Bezpłatnie. — Zeszyt niniejszy ma na celu wypełnienie luki w polskiej bibljografji nauk prawniczych i ekonomicznych.

UTWORY DRAMATYCZNE

Juljusz Słowacki. Dzieła wszystkie pod redakcją *Juljusza Kleinera*. Dział pierwszy. Utwory wydane za życia poety. Tom II. Trzeci tom poezyj — Kordjan — Opracował *Józef Ujejski*. Bibljografję opracował *Wiktor Hahn*. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1926; str. 4nl. i 368 i 4nl. Zł. 16. — Każdy utwór zaopatrzony jest w odmiany tekstu i objaśnienia wydawcy.

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2 tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografji „W. Główczewski", Chmielna 18

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI